

Jan Benedykt Kozíński

Przymuszeni z literą



Jak Police...

Jan Benedykt Koziński
PRZYMUSZENI Z LITERĄ „P”
Jak Police...

*Dzieciom i Wnukom - oraz Przyjaciółom z Polic,
którzy przyczynili się do powstania i wydania tego utworu
- dedykuje Autor*

POLICE' 2011

Redaktor prowadzący
Jan Antoni Kłys

Projekt okładki
Autor

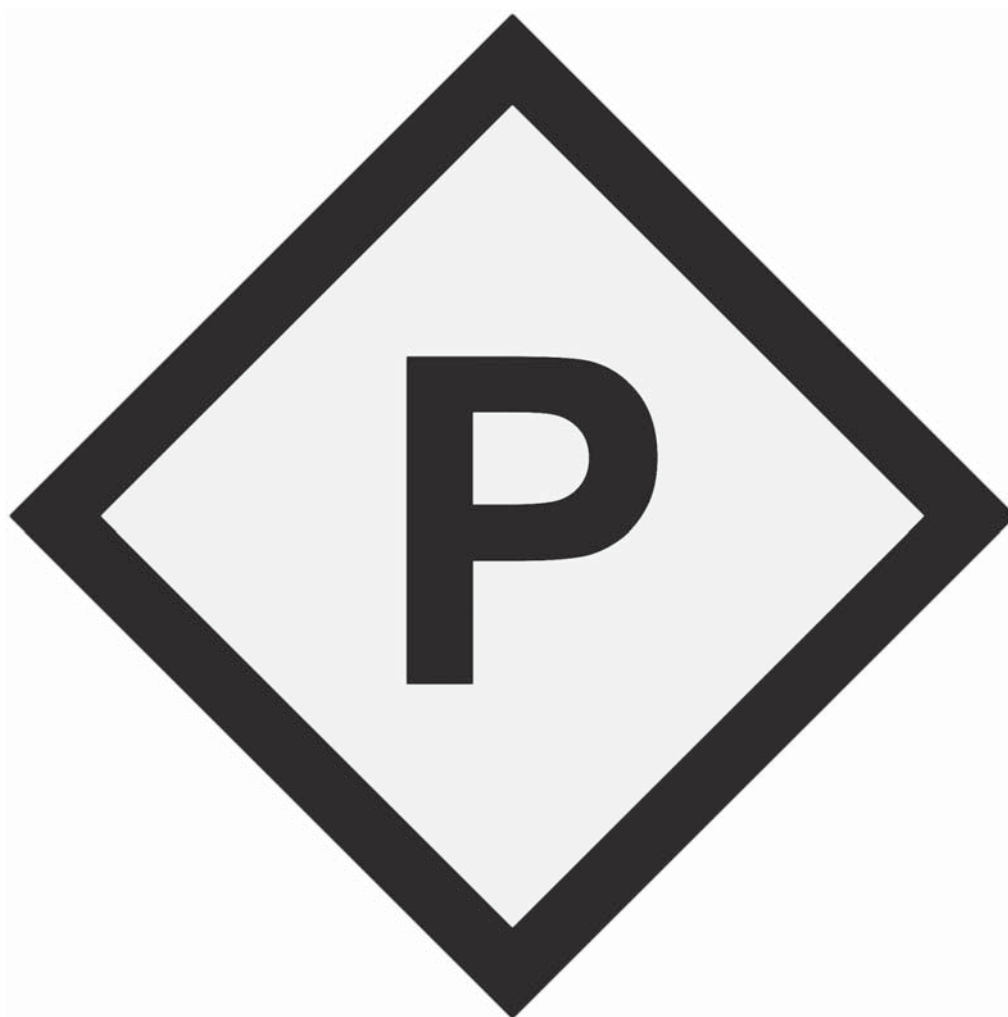
Zdjęcia
Archiwum Autora
Archiwum wydawcy
Jan Antoni Kłys
Mieczysław Sirocki

Wydawca
Gmina Police
Urząd Miejski w Policach
u. Stefana Batorego 3
72-010 Police
tel.: (91) 431-18-50, fax (91) 431-18-32
e-mail: promocja@ug.police.pl
www.police.pl

ISBN 978-83-927057-3-4

Jan Benedykt Kosiński

Przymuszeni z literą



Jak Police...

Przedmowa



Okres II wojny światowej, w Policach i na terenie współczesnej Ziemi Polickiej, widziany oczyma polskich więźniów i pracowników przymusowych, został utrwalony w wypowiedziach świadków, którym było dane doczekać wyzwolenia z nazistowskiej niewoli.

Zazwyczaj są to suche, krótkie zeznania, składane w kilka lub kilkanaście lat po zakończeniu wojny, przed organami badającymi zbrodnie przeciw narodowi polskiemu. Obszerniejsze opisy są rzadkością i dotyczą niemal wyłącznie tragicznych realiów obozu koncentracyjnego KZ Außenlager Stutthof w Policach - Mścięcinnie.

Dlatego ogromnym zaskoczeniem było ujawnienie w roku 2010 istnienia wspomnień Jana Benedykta Kozińskiego: Przymuszeni z literą „P”.

Autor - pracownik przymusowy od roku 1940, najpierw był zatrudniony w polickiej fabryce „Hydrierwerke”, a od września 1941 r. - w zakładzie ogrodniczym przy zbiegu obecnych ulic Starzyńskiego i Polnej. Zaznał wielu niewygód, a specyfika pracy pozwoliła mu obserwować codzienne życie wojennych Polic.

Wydarzenia, obserwacje i przemyślenia - po latach - przelał na papier tworząc jedyne świadectwo tego rodzaju.

W połowie września 2011 roku Autor, wraz z rodziną, przyjechał na kilkudniowy wypoczynek do Trzebieży. W trakcie pobytu znalazł czas, aby ponownie odwiedzić główne miejsca opisane we wspomnieniach. W siedzibie Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Polickiej „SKARB” spotkał się również z grupą miłośników przeszłości Polic, systematycznie rekonstruujących dzieje naszego miasta.

Miałem możliwość uczestniczyć w pierwszej części tego spotkania i - podobnie jak inni jego uczestnicy - zostałem ubogacony wielością barwnych obrazów przeszłości, wydobywanych przez Autora ze skarbca pamięci.

Jestem przekonany, że książka Przymuszeni z literą „P” spodoba się Czytelnikom, pozwalając przywołać obraz Polic sprzed lat siedemdziesięciu i nadać znaczenie wielu, dziś często już nieczytelnym, ale wciąż istniejącym, materialnym śladom.

Burmistrz Polic

A handwritten signature in black ink, appearing to read 'Władysław Diakun'.

Władysław Diakun

Od wydawcy

Książka składa się z trzech uzupełniających się części. Pierwszą stanowią wspomnienia będące kronikarskim zapisem osobistych przeżyć z lat 1940-1945. Część druga, zamieszczona w rozdziale „Retrospekcja”, to napisane po latach podsumowanie ogólnej atmosfery wojennych Polic.

Część trzecia, zatytułowana „Rozmowy z Panem Janem” zawiera uzupełnienie treści zasadniczej o odpowiedzi na pytania, jakie redagując książkę zadaliśmy Autorowi. Znajdziemy tu wyjaśnienie kilku zagadek i niejasności, z którymi od lat borykali się badacze dziejów Pölitz z okresu II wojny światowej.



Gruß aus Stettin=Pölitz



Pölitz (Police) - panorama miasta i reprezentacyjne miejsca. Pocztkówki z II połowy lat 30. XX w.

I. Prolog

W 86 roku życia i po upływie 64 lat od zakończenia II wojny światowej, ja wdowiec i emeryt w towarzystwie córek i zięcia, za ich namową, udałem się samochodem w kilkudniową podróż sentymentalną. Celem tej podróży był teren i okolice mieszczące się w trójkącie miast: Police - Szczecin - Ueckermünde.

Były to miejsca mojej młodości, w których żyłem, pracowałem przez pełne 5 lat: od maja 1940 roku do maja 1945 roku. Podczas tej podróży starałem się odszukać i pokazać swojej rodzinie miejsca, których się nie zapomina. Przywołać wspomnienia o ludziach, z którymi wspólnie przeżywałem dole i niedole, radości i smutki, a także chwile grozy i rozpacz oraz głodu i poniewierki.

Działo się to:

a) w pracy:

- w fabryce syntetycznej benzyny Hydrierwerke Pölitz, w okresie od maja 1940 r. do 25 września 1941 r.,

- w zakładzie ogrodniczym w Policach, od września 1941 r. do marca 1945 r.,

- przy kopaniu okopów przeciwlotniczych w Ueckermünde na przełomie marca i kwietnia 1945 r.,

- w zakładzie ogrodniczym w Ueckermünde, od kwietnia do maja 1945 r.

b) w miejscu zamieszkania:

- w obozie pracy Pommernlager - od maja 1940 r. do czerwca 1941 r.,

- w obozie pracy na statku SS „Bremerhaven” od czerwca 1941 r. do września 1943 r.,

- w zakładzie ogrodniczym w Policach od września 1943 r. do marca 1945 r.

- w cegielni w Ueckermünde w marcu 1945 r.,

- u ogrodnika w Ueckermünde od kwietnia do maja 1945 r.,

- w Szczecinie w maju 1945 r.

Miejsca pracy i zamieszkania - potwierdzają dane zawarte w książce pracy „Arbeitsbuch für Ausländer”. Zdjęcia tych danych przedstawiam na fotografiach, umieszczonych na końcu tego rozdziału.

Podczas podróży wspomnień odszukałem na cmentarzu w Policach grób mego przyjaciela z obozu i pracy Tadeusza Władyki i Jego małżonki Marty.

Do zapalonego na grobie znicza, włożyłem liścik ze swoim nazwiskiem, bez podania namiarów adresowych. O tym, że liścik ten dotarł do rodziny Tadeusza, dowiedziałem się z informacji zamieszczonej w internecie na forum dyskusyjnym. Ta internetowa wiadomość, jak i apel zamieszczony przez członków Stowarzyszenia SKARB w Policach o nadsyłanie wspomnień i materiałów dotyczących Polic i okolic, zmobilizował mnie do spełnienia tej prośby i opisanie swoich wspomnień.

We wspomnieniach staram się przekazać informacje tylko o zdarzeniach i sprawach, w których sam uczestniczyłem lub byłem ich świadkiem. Ma to na celu ukazanie nowych zdarzeń oraz uzupełnienie, względnie rozszerzenie faktów już opisanych i opublikowanych, podanych w Internecie, bez potrzeby ich powtórzenia i uniknięcia zarzutów o popełnienie „plagiatu”.

Przystępując do opisanie wspomnień z lat młodości - postaram się w miarę możliwości zachować chronologiczną kolejność zdarzeń.

A więc niech zdjęcia, pamięć i głowa zaczną pracować.







Strony z miejscem zamieszkania. Miejsce zasłonięte zawiera adres zamieszkania w Łodzi.

Niżej: miejsca i okresy pracy. W książce nie wykazano okresu pracy w fabryce od maja do grudnia 1940 roku.

1 Name und Sitz des Betriebes (Unternehmers) (Firmenstempel)	2 Art des Betriebes oder der Betriebsabteilung	3 a) Tag des Beginns der Beschäftigung b) Beschäftigung genehmigt bis	4 Art der Beschäftigung (möglichst genau angeben)	5 a) Tag der Beendigung der Beschäftigung b) Beschäftigung des Arbeitsamts	6 Unterschrift des Unternehmers
1 Einsatzgesellschaft Mr. P. H. Heikin - Politz		a) 4/12.40 b)	Hilfsarbeiter	a) 25.9.40 b)	
2 Einzelteil der nachstehenden aus dem eingetragten Reichsgebiet entlassenen (dislozierten) Arbeitskräfte sind beschäftigt Reichsamt Stettin in Auftrag:		a) b)		a) b)	
3 Carl B. B. B. Heikin - Politz	Carlens Haus	a) 25.9.40 b)	Bastianant.	a) b)	
4 Karl Aemke Werkstätte	Produktion	a) 16.4.40 b)	Geräte- meister	a) b)	
5		a) b)		a) b)	

II. Podróż pojmanych

W trzeciej dekadzie maja 1940 roku - w fabrycznej sali pustej fabryki w Łodzi przy ulicy Łąkowej, zamienionej na obóz przejściowy, kłębił się kilkusetosobowy tłum Polaków. Zostali oni nakazowo wyznaczeni przez niemiecki „Arbeitsamt” do pracy na terenie III Rzeszy.

Każdy z obecnych przygotowany był do wywózki. Miał ze sobą różne walizki, tobołki, czy paczki z odzieżą, bielizną i rzeczami osobistymi.

Obecny na sali „lekarz” niemiecki dokonywał przeglądu i oceny zdrowia uznając każdego za zdolnego do pracy.

Po tej czynności zgromadzony tłum Polaków został, pod eskortą, przeprowadzony na perony dworca kolejowego Łódź Kaliska. Przy jednym z nich stał przygotowany do odjazdu pociąg osobowy z wagonami i przedziałami trzeciej klasy. Wyznaczonym do wyjazdu robotnikom nakazano wsiadać i zajmować miejsca w pociągu. Na peronach obecne były żony i matki oraz rodziny, które żegnały wywożonych.

Wśród wywożonych byłem ja, młody chłopiec z rocznika 1923, liczący wówczas niecałe 17 lat życia. Towarzyszył mi Andrzej S. kolega i serdeczny przyjaciel z lat szkolnych. Postanowiliśmy być razem i nie rozstawać się nigdy.

Nastąpiły pożegnania - matka moja ze łzami w oczach żegnała mnie, prosząc Boga, by otoczył mnie swoją opieką. Przekazała mi swoją dewizę życiową „Bądź mądry”.

W godzinach południowych pociąg ruszył na zachód. Wtedy stało się coś niezwykłego. Ktoś zanucił i chwilę potem, wszyscy ludzie w odjeżdżającym pociągu zaczęli potężnym głosem śpiewać: „Góralu, czy ci nie żal”.

Pociąg z pozamykanymi drzwiami nabrał rozpędu, a Łódź zniknęła nam z oczu. Przed nami była wielogodzinna podróż. Nie wiedzieliśmy tylko dokąd nas dowiezie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że podróż ta zakończy się powrotem do Łodzi, dopiero po upływie pełnych 5 lat.

Mając tak długą podróż, był czas do przemyśleń i rozważań, kim byłem - kim będę?

W rodzinie byłem trzeci, najmłodszy. Matka zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Ojciec pracował w browarze do zwolnienia w 1935 roku. Od tego czasu, aż do wojny zarabiał na życie własną dorożką konną, którą Niemcy zarekwirowali. W czasie okupacji powrócił do pracy w browarze.

Najstarszy brat był marynarzem i służył na okręcie ORP „Gryf”. Po kapitulacji obrońców Helu dostał się do niewoli niemieckiej. Po zwolnieniu powrócił do Łodzi - pracując jako ślusarz. Został czynnym członkiem AK. Za swoją działalność został odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Jako kombatantowi zaliczono mu okres walki z Niemcami od 1 września 1939 roku do 9 maja 1945 roku.

Średni brat ukończył średnią szkołę zawodową, został tokarzem - technikiem. Był harcerzem, miał zdolności do rysunków, śpiewu i muzyki.

Ja zdałem do trzeciej klasy wieczorowej szkoły zawodowej. Pracowałem jako młodociany robotnik w fabryce metalowej.

Będąc teraz w podróży, razem z przyjacielem zastanawialiśmy się, co z nami będzie, co nas czeka i jak potoczy się dalej nasze życie. Najbliższy czas pokazał, co on potrafi.

Późnym już, ciemnym wieczorem pociąg nasz dojechał do miejsca przeznaczenia. Stanął na dworcu dużego miasta, był nim Szczecin.

Po otwarciu drzwi wagonów, uzbrojeni wachmani kazali nam wysiadać. Ustawionych w kolumnę zaprowadzili nas na boisko sportowe.

Spędziliśmy noc pod gołym niebem. Rano popędzono nas do „łaźni”, gdzie musieliśmy się umyć, pod prawie zimnym prysznicem, a ubrania oddać do parowania.

Przed nami, ustawionymi czwórkami w szeregu, zjawiała się grupa cywilnych Niemców. Rozpoczął się targ „niewolników”. Prowadzący całą imprezę, umundurowany Niemiec, rozkazał wystąpić przed szereg wszystkim młodym osobom mającym do 16 lat. Ja z Andrzejem S. nie wystąpiliśmy, gdyż mieliśmy już 16 lat ukończone.

Baliśmy się przy tym, że jest to działanie, które może nas rozdzielić. Cywilni Niemcy okazali się osobami mającymi gospodarstwa rolne, którzy wybierali i zabierali ze sobą robotników do pracy w ich gospodarstwach.

Pozostałe na boisku osoby zostały podzielone na grupy i samochodami ciężarowymi dowiezieni do Polic, miejsca zakwaterowania i przyszłej pracy.

III. Obóz pracy Pommernlager

Dojeżdżając do Polic oczom moim ukazał się widok olbrzymiego, wielohektarowego rozkopanego terenu i budowanej potężnej fabryki - miasta. Wyróżniały się wysokie budynki i kominy oraz kilkupiętrowe dźwigi suwnicowe. Była to fabryka benzyny syntetycznej „Hydrierwerke Pölitz AG“. W pobliżu budowy znajdował się ogrodzony teren, a na nim stało kilkanaście drewnianych baraków.

Byliśmy na miejscu. Był to obóz pracy Pommernlager. Przebywałem w nim ponad rok. W czasie pobytu w tym obozie zwróciłem uwagę i zapamiętałem szereg spraw i zdarzeń, które postaram się przedstawić.

Okazało się, że kierownictwo obozu w postaci „Lagerführera”, strażników, tłumaczy języka, oraz sztabowych - było doskonale przygotowane na nasz przyjazd i przyjęcie.

Sprawnie przeprowadzono badanie „lekarskie”, (wszyscy byli zdrowi). Każdego fotografowano z numerem zawieszonym na piersi, oraz przydzielano do noszenia znak „P”. Spisano dane personalne - otrzymałem imię, nie Jan, ale Johann. Dokonano podziału na grupy pracujące. Przydzielono baraki i izby do zamieszkania. Ja wraz z Andrzejem S. zostaliśmy przydzieleni do typowej w barakach, 20-osobowej sztuby.

Izba wyposażona była w 10 piętrowych łóżek metalowych z „materacami” i czymś, co nazywano poduszką i 2 kocami. Ja zająłem łóżko na górze, a Andrzej na dole. Ponadto w izbie było 10 metalowych, dwudrzwiowych szafek, dla każdego mieszkańca po połowie. Zamykane były na kłódkę. Przeznaczone do przechowywania rzeczy osobistych użytkownika.

Na środku izby stał żeliwny piec do ogrzewania, z rurą wychodzącą ponad dach budynku. Po obu stronach pieca stały dwa drewniane stoły oraz taborety do siedzenia. Była też jedna 10-litrowa blaszana konew z uchem do przynoszenia kawy obozowej na śniadanie i kolację, przez kolejno wyznaczanego dyżurnego. Do osobistego wyposażenia należała głęboka miska z metalu lub fajansu, półlitrowy kubek blaszany i łyżka.

Każdemu zostały wydane miesięczne kartki na żywnienie, za które musieliśmy płacić wyznaczoną kwotę, podobnie jak za zakwaterowanie.



Ja (z lewej) z przyjacielem na tle baraku.

Następnego dnia, po przyjeździe, rano o godz. 6 zrobiono nam pobudkę i ustawiono nas na placu apelowym. Mowę do nas - tłumaczoną przez obozowego tłumacza - wygłosił umundurowany komendant (Lagerführer).

Mówił o obowiązującym regulaminie pracy i obozu. Podkreślał, że głównym naszym obowiązkiem jest praca. Większość pozostałych spraw, to były nakazy i zakazy.

Po takich dyspozycjach, skierowani zostaliśmy, grupami i pod nadzorem wachmanów, do fabryki na wyznaczone już miejsca pracy. W ten sposób wpadliśmy w rytm codziennej pracy i życia obozowego.

Na terenie Polic znajdowały się trzy rodzaje obozów:

1. Obozy pracy - w których dopuszczano pewne swobody. Do nich należały takie jak:

- swobodne wykorzystywanie czasu po zakończonej pracy,
- dowolne noszenie swego cywilnego ubrania roboczego i świątecznego,
- wychodzenie poza teren obozu i poruszanie się po określonym terenie w ustalonym czasie.

Wstęp do parków, kin, kościołów był zabroniony.

2. Karne obozy pracy o zaostrzonym rygorze i stosowaniu kar, noszące cechy zamkniętego więzienia.

3. Obóz koncentracyjny - podobóz „Stutthof“ o specjalnym systemie karnym.

Wspólną cechą tych obozów były trzy podstawowe niezaspokojone potrzeby, utrudniające lub wręcz uniemożliwiające przeżycie, a mianowicie:

- występujący głód, na skutek otrzymywania głodowych norm żywnościowych,
- ciężka, ponad siły, praca wyniszczająca organizm,
- nieodpowiednie warunki mieszkaniowe.

Takie usytuowanie obozów na jednym terenie, może stwarzać wrażenie, że niemożliwym jest, by Polak z obozu, ubrany był w płaszcz, garnitur, koszulę z krawatem i był jeszcze fotografowany. Było jednak inaczej. Przybyli, do obozu pracy, Polacy przywieźli ze sobą walizki i różne bagaże z ubraniami wyjściowymi, jak i roboczymi. Były również możliwości otrzymywania z domu paczek pocztowych z odzieżą i bielizną. Nie było więc zasadniczym problemem ubrać się świątecznie i pozować do fotografii.

W czasie zwycięstw na froncie zachodnim (Francja) Niemcy organizowali w obozie pracy „kiermasze” ze sprzedażą używanej odzieży i obuwia, niewiadomego pochodzenia. Skorzystałem z tej okazji, kupując raz bardzo tanio spodnie bryczesy i buty z cholewami. Uwidocznilem to na kolejnym zdjęciu.



Ja w spodniach bryczesach i butach z cholewami zakupionymi na „kiermaszu”. Obok mnie stoi mój przyjaciel Andrzej S.

Niewygodny dla Polaków problem pojawił się zimą. Wielu Polaków przywiozło ze sobą zimowe palta długości poniżej kolan, do połowy łydki. Długość tych palt przeszkadzała w pracach ziemnych i budowlanych. Niemcy zwracali na to uwagę. Zmuszali Polaków do podwijania dolnych połaci palta do pasa, a nawet do ich obcinania. Sami Niemcy posiadali i pracowali w kurtkach o długości poniżej pasa.

Z upływem czasu własna odzież ulegała zniszczeniu i przemieniała się w prawdziwe łachy. Niemcy odzieży i obuwia nam nie przydzielali. Zdobyć odzież przez Polaków stanowiło problem. Powszechnym stał się widok robotników ubranych w różne łachmany z drewnianym obuwiem (trepami) na nogach.

Zrobienie zdjęcia w obozie lub poza jego terenem, dla nas robotników z obozów pracy nie było łatwe, ale dało się załatwić. Mimo zakazu, niektórzy Polacy posiadali ukryte aparaty fotograficzne.

Do robienia zdjęć wykorzystywano wiele możliwości, takich jak np.:

- udanie się na pocztę w celu odbierania i wysyłania paczek do domu,
- pomoc kolegów z obozu, pracujących w mieście w zakładach fotograficznych, fryzjerskich, aptekach,
- pomoc Polaków zatrudnionych w gospodarstwach rolnych u bauera,
- pomoc przyjaźnie nastawionych Niemców, za płatną usługę.

Możliwość wychodzenia poza teren obozu oraz poruszania się poza nim w ograniczonym zakresie - ułatwiało nawiązywanie różnego rodzaju kontaktów, w dążeniu do przetrwania.

Życiową podstawą do przetrwania było wyżywienie.

Wydawane w obozie racje żywnościowe, początkowo znośne, stawały się coraz mniejsze, aż do głodowych. Składały się na nie:

- codziennie wydawane na obiad 3/4 litra zupy, najczęściej z brukwi i kilku kartofli w mundurkach,
- prowiant suchy wydawany na trzy dni - na śniadanie i kolację, w postaci pół bochenka chleba, trochę margaryny, jakiegoś sera w kubkach, kawałek wędliny typu mortadela, metka czy pasztetowa. Najczęściej było tak, że prowiant na trzy dni, zjadany był jednorazowo na kolację. W dostatecznej ilości była tylko obozowa kawa. Sytuację ratowały paczki żywnościowe przysyłane z domu pocztą - która działała w obozie. Po wyczerpaniu się i tej możliwości, szukano innych sposobów, m.in.:
- pokątnie kupowano żywność, zwłaszcza chleb, od Niemców,
- nielegalnie korzystano ze stołówki zakładowej, zabronionej dla Polaków,
- prowadzono handel wymienny z robotnikami z krajów zachodnich,
- wykonywano u Niemców, w ogródkach i gospodarstwach różne prace za jedzenie lub produkty żywnościowe.

Powstała taka sytuacja, że w barakach zaczęto gotować własne różne potrawy. Na rozpalonych do czerwoności piecach (w których spalano przynoszone z fabryki brykiety) - gotowano różne posiłki, a na bokach tych pieców piekły się placki kartoflane. Na statku „Bremerhaven” takiej możliwości już nie było.

O zdrowie obozowiczów dbała służba zdrowia, składająca się z sanitariuszy i jednego niemieckiego lekarza. Przyjmował on pacjentów w obozowej, kilkułóżkowej, izbie chorych. Obsługiwał on chorych - również z innych pokrewnych obozów, tylko w dniach i godzinach wyznaczonych. Najczęściej stosowanym lekiem dla chorych leżących na izbie była aspiryna, a dla chorych na żołądek, przepis na przydział ustalonej racji chleba pszennego.

W obozie pojawiały się liczne objawy choroby w postaci dużych ropnych wrzodów na różnych częściach ciała. Chorzy kierowani byli do ośrodka zdrowia, mieszczącego się w budynkach biurowych fabryki. Tam dokonywano operacji rozcięcia i oczyszczenia ropnia. Operację tę przeprowadzano na żywca, bez znieczulenia. Ja sam miałem czyszczone dwa wrzody umieszczone pod pachą i na przegubie lewej ręki.

Krzyki, jakie wydawali operowani, były chyba głośniejsze niż u dentysty.

Do końca 1940 roku istniała możliwość dokonania zakupu różnego rodzaju wyrobów. Można było składać pisemne zamówienia u producenta, a odbioru dokonać na poczcie za zaliczeniem pocztowym.

Z możliwości tej skorzystałem i złożyłem zamówienie na zakup instrumentu muzycznego, tj. akordeonu z 40 basami, a drugie na zakup zegarka na rękę. Zegarka nie otrzymałem, a odpowiedź odmowną uzasadniono tym, że wszystkie zegarki, w pierwszej kolejności, przeznaczone są na potrzeby wojska. Zamówiony akordeon został przesłany na mój adres, z poleceniem odbioru i zapłaty w urzędzie pocztowym w Policach.

Odbiór tego instrumentu spotkał się z szykanami ze strony młodzieży faszystowskiej. Zmusili mnie, idącego z literą “ P “ na pocztę do chodzenia, nie chodnikiem tylko jezdnią i kłaniania się przechodzącym Niemcom. Do poczty dotarłem jezdnią. Niemcom się nie kłaniałem - bo nie miałem ze sobą czapki - a więc byłem bez nakrycia głowy.

Tak robili prawie wszyscy Polacy.

Zakupioną harmonię natychmiast przesłałem rodzinie do Łodzi. Miasto to było już włączone w granice III Rzeszy - jako Litzmannstadt. Jak pisał mi w liście brat - otrzymany instrument okazał się bardzo przydatny. Umiał rodzinie i znajomym szare dni trwającej okupacji.

Podstawą do utrzymania higieny osobistej były oddzielne baraki - umywalnie. Na terenie obozu było ich kilka. Wyposażone zostały w dwa rzędy żeliwnych

umywalek i kabiny z prysznicami, oraz kranami z zimną wodą. Spełniały one swoje zadanie latem. Korzystanie z nich zimą było problemem. W obozie działał także fryzjer, który zajmował się przede wszystkim stryżeniem włosów za stosowną zapłatę.

Powszechną rozrywką była gra w karty. Grano przeważnie w tysiąca i w „oko” na pieniądze. Gra w „oko” była zabroniona. Przyłapanym na tej grze Niemcy konfiskowali pieniądze i karty.

Miejscem życia towarzyskiego i rozrywki była obozowa kantyna mieszcząca się w oddzielnym baraku. W kantynie - głównym towarem do nabycia było piwo beczkowe. Przez niektórych piwo to było pite w nadmiernych ilościach. Można było także kupić w kantynie inne drobiazgi, jak żyłетки do golenia, papier listowy, koperty itp.



Na zdjęciu jestem ja, z gitarą w ręku, w towarzystwie kolegów ze sztaby (izby) - na tle baraków Pomernlager w niedzielne popołudnie.

W kantynie odbywały się również próby chóru, zespołu muzycznego i tanecznego. Zespoły te, za zgodą komendanta obozu, organizowały okresowe występy dla obozowiczów.

Występy te najczęściej składały się z nadawania koncertów życzeń, żonglerki, grania utworów muzycznych z lat przedwojennych, tańców, np. krakowiaka, chóru - śpiewającego piosenki typu „Mam fajeczkę za cholewą, czy za prawą czy za lewą, jak wyjdę na pole to ją sobie zapole”.

Przypominam sobie jedną z piosenek, śpiewaną solo, przez jednego z obozowiczów. Słowa tej piosenki wprowadzały słuchających w głęboką zadumę. O ile pamiętam składała się ze słów:

W małym domku daleko za miastem
Nad kołyską klęczała matka
Która nuciła tak:
Śpij syneczku - śpij kochanie
Matusz pobiegnie po mleczko
Napoi Cię nakarmi, a Pan Bóg w niebie
Da, że wychowam Ciebie
Śpij maleńki śpij.
Lat dwadzieścia minęło spokojnie
Jej syn tęgi robotnik i zuch
Gdy gruchnęła straszna wieść o wojnie
W fabryce niepokój i ruch
A gdy zasnął po pracy zmęczony
Przy jego łóżku śpiewała tak:
Śpij syneczku, śpij sokole
Jutro masz wyruszyć w pole
Na krwawą walkę na bój
Ja będę się modliła
Bym Ciebie nie straciła
Śpij syneczku śpij.
Na cmentarzu daleko za miastem
Gdzie rząd krzyży jest gęsty jak las
Nad mogiłą klęczała niewiasta
Która nuciła tak:
Śpij syneczku śpij żołnierzu
Na pierś - krzyż Ci dali
A życie Ci zabrali
Śpij syneczku śpij.

Drugim miejscem spotkań towarzyskich był „Puf-Baracke” - dom publiczny. Był zbudowany poza obozem, bliżej Jasienicy. Składał się z dwóch części: dla Niemców i dla cudzoziemców. W części dla cudzoziemców, występowały głównie panie z Polski i z Francji. Podstawowy koszt korzystania z usług takiej pani wynosił 10 marek. Zaletą tego miejsca spotkań, była możliwość nawiązywania różnych kontaktów międzynarodowych. Dotyczyły one głównie uprawiania handlu gotówkowego i wymiennego na takie towary, jak chleb, żywność, ubrania, zegarki itp.

IV. SS „BREMERHAVEN”

Życie, przebywanie w obozie pracy na statku „Bremerhaven” było odmienne niż w Pommernlager. Opisane zostało szeroko w innych informacjach i wydawnictwach np. „Statek śmierci”. Moje życie i pobyt na tym statku uzupełniają następujące zdarzenia.

Statek był zakotwiczony na Odrze, przy końcówce rurociągu tzw. lejku. Do statku dochodziło się przez rynek w Policach, przez mostek zwodzony, uruchamiany ręcznie, przy stoczni remontowej dla łodzi. Następnie szło się drogą żużlową nad Odrą. Drogą tą często uciekaliśmy przed nalotami, by schronić się w stogach siana na łąkach, nad brzegiem rzeki.

Jesienią 1942 roku w czasie sztormowej pogody, w nocy, statek zerwał się z cum i kotwicy. Zaczął dryfować po Odrze ku ujściu. W ten sposób wszyscy przebywający na statku zostali uwięzieni. Nie było możliwości otrzymania jedzenia, picia i mycia, a nawet skorzystania z ubikacji (latryny), która była na łądzie.

Dryfowanie statku zakończyło się dopiero wieczorem. Dopłynęły dwa holowniki, które doholowały statek do brzegu rzeki, ale już w innym miejscu, bliżej Jasienicy. Tam zbudowany został pomost drewniany na łodziach. Od tego czasu do statku dochodziło się od szosy, polną drogą przez łąki.

Było to chyba wiosną 1943 roku - Niemcy zaczęli budować na łądzie - przenośną drewnianą szubienicę. Następnego dnia, w godzinach popołudniowych, po pracy przyjechały samochody ciężarowe. Przywiozły uzbrojonych żołnierzy SS. Wszystkich obozowiczów spędzili ze statku na ład. Zostaliśmy obstawieni przez uzbrojonych wachmanów. Kazali nam odwrócić się tyłem do szubienicy. Staliśmy tak przez kilkanaście minut bez ruchu. Dopiero wtedy nakazano nam odwrócić się i patrzeć na szubienicę. Na szubienicy wisiał Polak z tablicą na szyi, na której widniał napis: „Za utrzymywanie stosunków cielesnych z kobietą niemiecką, wrogą działalność przeciwko Rzeszy i słuchanie nieprzyjacielskiego radia”.

Nakazano nam biegiem wrócić na statek i nie pokazywać się na pokładzie do czasu odwołania zakazu. Gdy to nastąpiło, mogliśmy wyjść na pokład i zejść na ład. Szubienicy i żołnierzy SS już nie było.

Plagą, z którą nie mogliśmy sobie poradzić, były pluskwy. Pod pokładem w pomieszczeniach, w których mieszkaliśmy - były ich tysiące. Chciały nas, śpiących na piętrowych łóżkach, żywcem pożreć, zwłaszcza nocą, po zgaszeniu światła. Miały ku temu idealne warunki. Pomieszczenie, w którym mieszkałem, znajdowało się na rufie statku, na drugim piętrze pod pokładem, poniżej lustra wody. W dzień świeciło się światło, które wieczorem było wyłączane. Pozostawały tylko niewielkie światła awaryjne, przy schodach prowadzących do wyjścia na pokład.

Pluskwy były wszędzie. Ukryte w ścianach, łóżkach, szafkach, a nawet w ubraniach. Ich ataki powodowały powstawanie bólowych, swędzących długo bąbli. W geście obrony, chodzące po nas, gryzące i pijące krew gromady pluskiew, gnieciono rękoma. Powodowało to, że całe ciało, jak i bielizna unurzane były we krwi. Tragedią było to, że trwało tak co noc, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc itd.

Niemcy próbowali pluskwy zniszczyć za pomocą gazu, ale to nie przynosiło pożądaných efektów. Po kilku dniach, pluskwy ponawiały swoją niszczycielską działalność, która uniemożliwiała spokojny sen. Chcieliśmy się przed nimi bronić, w ten sposób, by w okresie letnim nocować na pokładzie lub lądzie. Było to jednak zabronione.

Tak było do końca, tj. do dnia, kiedy obóz zlikwidowano, a statek odholowano na potrzeby wojska.

W takich warunkach, jak i przy braku możliwości utrzymania należytej higieny, szatańskim pomysłem były organizowane przez Lagerführera cotygodniowe „apeli czystości”.

Polegały one na tym, że w wyznaczonym dniu i czasie, każdy z obozowiczów miał obowiązek stać przy swoim łóżku, umyty i czysto ubrany i pokazać, że ma w walizce na zmianę czystą bieliznę. Osoby, które nie potrafiły tego okazać, były karane dodatkowymi zajęciami lub karnymi ćwiczeniami.

W pamięci utkwiał mi jeden z takich „apeli” dotyczący mojej osoby.

Pracowałem wtedy w fabryce „przy paku”. Wróciłem po pracy na statek jeszcze czarny, brudny i nie umyty. Trafiłem akurat na apel czystości. Podchodząc do mnie, stojącego przy łóżku, Lagerführer zapytał dlaczego jestem taki brudny? Tłumacz, towarzyszący komendantowi obozu, wytłumaczył, że dopiero co wróciłem z pracy przy „paku” i jeszcze nie zdążyłem się umyć. Przyznał mi rację i po pokazaniu mu czystej zmiany bielizny w walizce, stwierdził, że jestem w porządku.

I wtedy się zaczęło.

Komendant obozu stwierdził, że teraz dokona przeglądu szafek i przechowywanych w nich rzeczy, czystości kubków do kawy obozowej i misek.

Włos zjeżył mi się na głowie.

W mojej połówce szafy, na jej dnie, leżały koce, kubek i miska mojego partnera z dolnego łóżka. Rzeczy te ukryłem w mojej szafce po jego ucieczce z obozu do domu. Dokonał tego na podstawie fałszywych telegramów o śmierci członka bliskiej rodziny.

Jeżeli stan ten komendant obozu zobaczy, w dodatku z czarnym brudnym kubkiem do kawy - to jestem stracony.

Lagerführer podszedł do mojej szafki - zobaczył na niej kłódkę.

Na pytanie gdzie jest właściciel tej szafki, koledzy odpowiedzieli, że w pracy na zmianie. Sztubowy chciał temu zaprzeczyć, ale zamilkł. Koledzy zagrozili mu gestem ręki po gardle.

W tym czasie, komendant obozu otworzył drugą połówkę szafy. Była ona własnością marynarza, byłego jeńca wojennego, który miał zdolności plastyczne.

Swoją szafkę upiększył wycinankami z papieru w formie różnych kolorowych serwetek. Wyglądało to bardzo ładnie i każdemu się podobało Lagerführer stwierdził, że za to, że ma ładnie urządzonej szafkę, daruje mu brudny kubek. Zalecił, by inni wzięli z niego przykład i swoje szafki doprowadzili do podobnego stanu. Po tym stwierdzeniu odwrócił się i wyszedł z sali.

Byłem uratowany. Ktoś nade mną czuwał i mną się opiekował?

Natychmiast po tym, z mojej szafki zniknęły rzeczy po uciekinierze, utopione zostały w Odrze. Koce wzięli koledzy i na swój sposób wykorzystali.

Jeden z dziwnych i nietypowych wręcz nakazów, wydanych przez komendanta obozu dotyczył łyżek. W zamian za oddaną łyżkę, zdający otrzymywał drewnianą. W rzeczywistości był to wycięty kawałek cienkiej deski, z zaokrągloną końcówką, bez żadnego wgłębienia.

Nie było żadnej możliwości, by taką łyżką zjeść zupę z miski.

Rozpoczęła się dla nas robota, by w tej desce wydłubać wgłębienie umożliwiające nabranie płynu. Niezależnie od tego, w myśl zasady, że Polak potrafi, każdy z nas zorganizował dla siebie łyżkę metalową. Przyczynili się do tego w dużej mierze ślusarze. W warsztatach fabrycznych nielegalnie i z podbieranej blachy produkowali różne rodzaje łyżek. Zdobywano łyżki także w ramach wymiany towarowej z innymi cudzoziemcami, a także przez darowiznę lub kupno od Niemców.

Po upływie kilku dni - problem łyżki został przez obozowiczów rozwiązany. Konfiskata łyżek metalowych okazała się więc marnym interesem, przynoszącym tylko straty.

Głodowe wręcz racje żywnościowe otrzymywane z kuchni obozowej spowodowały, że sprawy zdobycia dodatkowej żywności stały się obsesją. Wszystkie myśli krążyły wokół tego, w jaki sposób dostarczyć młodemu organizmowi środki, by zaspokoić jego potrzeby. Na statku problem ten utrudniał jeszcze fakt, że

nie było na nim pieców, a ognisk na łądzie nie wolno było rozpalać, by ugotować sobie jakąkolwiek potrawę.

Znany mi jest przypadek, że sprawy żywnościowe doprowadziły do zerwania wieloletniej przyjaźni między dwoma nierozłącznymi dotychczas kolegami jeszcze z czasów szkolnych. Jeden z nich otrzymał z Łodzi dwie paczki żywnościowe, zaadresowane na jego nazwisko. Zaprzyjaźnione ze sobą rodziny tych przyjaciół, wysłały wspólnie, dwie paczki na nazwisko jednego z nich. Takie nadanie paczki ułatwił im znajomy Niemiec.

„Przyjaciel“, który odebrał przesyłkę, nie przyznał się drugiemu przyjacielowi, że jedna z paczek należała do niego. Sam wykorzystał do końca żywność zawartą w obu paczkach.

Przyjacielowi, który o swojej paczce dowiedział się z listu od rodziny, łaskawie oddał swoją dzienną porcję zupy. Zjedzenie przez niego dwóch porcji zupy, spowodowało u niego rozstrój żołądka.

Zbliżał się późny wieczór, kiedy poczuł u siebie sensacje żołądkowe, wymagające natychmiastowego skorzystania z ubikacji. Nie było to jednak takie łatwe.

Aby dojść do ubikacji, znajdującej się na łądzie, trzeba było:

- z dołu, z 2 piętra, wydostać się schodami na pokład statku,
- przebiec około 50 metrów do trapu, zejść trapem z pokładu na pomost,
- przebiec około 50 metrów pomostem do lądu,
- przebiec około 50 metrów do latryny.

Tego nie udało mu się dokonać. Dobięgl tylko na pokład i kucnął za przybudówką, przy lewej burcie statku. Tam załatwił swoją potrzebę. Nie miał czasu, ani środków, by dokonane zanieczyszczenie posprzątać. Po powrocie z pracy dowiedział się o wielkiej awanturze i poszukiwaniu osoby winnej ujawnionego stanu. Sprawcy zdarzenia jednak nie wykryto.

Sprawa paczek żywnościowych spowodowała krach w stosunkach dotychczasowych przyjaciół. Oddalili się od siebie, a ich drogi życiowe rozeszły się.

Dla zobrazowania stanu wyżywienia na statku przedstawiam zestaw potraw na stole wigilijnym Bożego Narodzenia w grudniu 1941 roku. W tym czasie mieszkałem i żywiłem się w obozie na statku, a pracowałem w zakładzie ogrodniczym w Policach.

Od ogrodnika kupiłem choinkę. Z kolegami ustroiłiśmy ją, ustawiając przy wspólnym stole, na statku.

Na wieczerzę wigilijną składały się trzy dania: kubek obozowej kawy, kawałek chleba, musztarda. Tę wigilijną kolację przedstawiam na zdjęciu. Na fotografii znajdują się ja, drugi siedzący przy stole, z prawej strony, z zaznaczeniem x miejsca do spania, z kolegami, na statku obozie „Bremerhaven”. Drugi siedzący w



krawacie z lewej strony, to były marynarz, zwolniony jeńiec wojenny, którego zapamiętałem, ponieważ w chwilach zadumy rzewnie śpiewał piosenkę zaczynającą się od słów: „Z kim ja się bawić mam sam, kiedy ty Marylo jesteś tam.”

Siedzący w środku z literą „P” i stojący w białej koszuli, to fryzjerzy pracujący w zakładzie w Policach. Pozostałe osoby to robotnicy z fabryki.

Wszystkie osoby na zdjęciu, oprócz marynarza, to łodzianie. Nazwiska i imiona ich uleciały mi z pamięci.

W obozie pracy na „Bremerhaven” przebywałem do czasu jego likwidacji.

V. Praca w fabryce

W maju 1940 roku, skierowany do pracy w fabryce, wraz z grupą innych osób zostałem przydzielony do firmy budowlanej. Wykonywałem prace przy betoniarce, ładując cement i żwir do bębna.

Było też kopanie i zakopywanie łopatą głębokich wykopów, rozładowywanie wagonów z cegieł, które raniły ręce do krwi. Wożony pchanymi wózkami na budowę wielkich kolektorów beton, powodował niesamowity ból w plecach.

Do głównych robót należało jednak kopanie rowów. W rowach tych układano na rolkach i ciągnięto kilometry grubych kabli elektrycznych. Potem ułożone kable przykrywane były cegłami, a rowy zasypywano.

Przy tych robotach nosiliśmy cegły z miejsca składowania, dwuosobową „traga”, w której mieściło się ponad 20 sztuk cegieł. By ulżyć sobie w tej pracy, stosowaliśmy specjalny sposób układania cegieł w „nosidle”, tak, aby przy najmniejszej ilości cegieł, „traga” wyglądała na całkowicie wypełnioną.

Przy układaniu cegieł przykrywających kabel w wykopie, zatrudniony był m.in. „Słowak” ze swoim synem. Syn tego „Słowaka”, za bumelanctwo w pracy, został przez Niemców skazany na czasowy pobyt w obozie karnym.

Z tą osobą miałem i przeżyłem następujące zdarzenie.

W środku dnia pracy, przybyło dwóch wachmanów, którzy zabrali mnie, mego przyjaciela Andrzeja S., oraz jeszcze jednego Polaka i zaprowadzili na Gestapo. Mieściło się ono w pomieszczeniach obok biurowca Dyrekcji fabryki.

Komendant tego posterunku, niski, ubrany w mundur i buty z cholewami, zwany „Maja” rozpoczął nasze przesłuchania. Zaczął od bicia pejczem - za to, że udajemy, iż nie znamy języka niemieckiego.

Następna seria ciosów spadła na nas za to, że nie chcemy się przyznać do tego, że mój przyjaciel Andrzej S. jest szpiegiem angielskim. Powodować on miał naloty bombowców na fabrykę, a ja i pozostali kolega mieliśmy mu pomagać w wykonywaniu tych zadań.

Dopiero po przybyciu tłumacza, donosiciela i brygadzysty wyjaśniło się, że:

- nie byliśmy szpiegami,
- jesteśmy b. dobrymi robotnikami,

- o nalotach rozmawialiśmy - w jaki sposób się od nich obronić,
- donosicielem był „Słowak”, który przez oskarżenie nas, chciał uzyskać zwolnienie dla swego syna z obozu karnego.

Sprawa skończyła się na tym, że z Gestapo cała nasza trójka wyrzucona została kopniakami za drzwi z natychmiastowym nakazem powrotu do pracy.

Po tym zdarzeniu „Słowakowi” - donosicielowi zaczęły się zdarzać wypadki grożące kalectwem, a nawet śmiercią np. cegła spadająca do wykopu na głowę. By uniknąć tych przypadkowych zdarzeń, „Słowak” został przeniesiony do pracy w innej ekipie i miejscu.

Często niemiecki brygadzysta wysyłał mnie, w towarzystwie starego Niemca do firmowej pakamery. Przynosiłem z niej, na miejsce pracy, dwa wiadra firmowej kawy, do spożycia w przerwie obiadowej. W czasie tej krótkiej przerwy, kto miał to spożywał swoje kanapki, a reszta odpoczywała, siedząc lub leżąc na ziemi.

W czasie takich wędrówek po fabryce, uwagę zwracały napisy, w różnych językach, umieszczone na kranach wodnych, że woda nie nadaje się do picia. Jednocześnie w kilkunastu miejscach i ulicach były czynne kioski. Sprzedawano tam różne napoje z piwem włącznie.

Wraz z nastaniem chłódów i zbliżającej się zimy skończył się okres budowlany.

Od grudnia 1940 roku zostałem zatrudniony do wykonywania prac w fabryce związanych z cyklem produkcyjnym wyrobu finalnego - benzyny. Rozpoczęło się wykonywanie najcięższych i najgroźniejszych dla zdrowia robót.

W czasie zimy, na placu węglowym, objęliśmy bez przerwy młotami kowalskimi boki wagonów z węglem (miałem), by w ten sposób oderwać od nich zmarznięty miąższ węglowy i ułatwić opróżnienie wagonu w całości. Wagony z węglem, stojące na torach kolejowych, podciągane były do specjalnego urządzenia, które podnosiło je do góry, wysypując węgiel do zsypu elewatora. Był to najwyższy budynek w fabryce.

Innym razem, na ostatnim piętrze tego budynku, stojąc na podeście schodów, bez żadnego zabezpieczenia, odbierałem podawane windą - na metalowej linie - przymocowane blaszane beczki. Napelnione one były materiałem podobnym do sadzy z komina.

Odbieranie tych beczek odbywało się w ten sposób, że wspólnie z przyjacielem, stojąc nad przepaścią, trzymając się jedną ręką futryny drzwi będących z tyłu, drugą ręką przyciągaliśmy na podest podawane beczki. Po ich odczepieniu toczyliśmy je do tylnego pomieszczenia. Tam inni robotnicy, w maskach przeciwpyłowych, wysypywali zawartość beczek do zbiorników przez otwory (leje) znajdujące się w podłodze. Opróżnione beczki wędrowały na dół. Trwało to tak godzinami, aż do czasu opróżnienia całości dostarczonego transportu beczek.

Ruiny elewatora węglowego.
Stan współczesny.
Tu, między innymi,
pracował autor książki.





Prawdziwą katorgą okazała się trzymianowa praca przy „paku”. Wykonywałem ją do końca września 1941 roku. Praca przy „paku” polegała na rozładunku wagonów kolejowych z belami tego materiału na wydzielonym placu.

Tworzyła się z tego wysoka góra, która po pewnym czasie i pod wpływem słońca topniała i stawała się jednolitą skałą. Aby uzyskać z tej skały luźny materiał, używaliśmy młotów pneumatycznych. Dopiero taki urobek ładowano na taczki i dowożono do taśmociągu. Za pomocą tego taśmociągu podawany był przez otwór do gorącego wysokiego zbiornika. Rozpuszczony w zbiorniku „pak” rurociągami podawany był dalej do przerobu.

Pracę przy „paku” wykonywaliśmy ubrani w kombinezony z kapturem na głowie, w okularach przeciwpyłowych. Twarz smarowaliśmy specjalnym kremem przysypując białym „pudrem”.

Ubiór ten, jak i ochrona oczu i twarzy, a także możliwość wzięcia kąpieli - pod prysznicem i umycia się w pracy w specjalnym pomieszczeniu, nie stanowiły jednak dostatecznego zabezpieczenia zdrowia przed niszczycielskimi skutkami pracy wykonywanej przy „paku”. W okresie późniejszym nawet takiego zabezpieczenia nie było. Mój wygląd po pracy przy „paku” obrazuje zdjęcie zamieszczone wyżej.

Skutki wydobywającego się z „paku” kurzu były groźne. Pojawiały się plamy na twarzy i rękach (rękawic nie było), z których płatami schodziła skóra, tworząc ropiejące rany. Szczególnie uwidaczniały się one na policzkach pod oczami, gdzie zbierało się najwięcej kurzu.

Oczy ciągle łzawiły i piekły. Groziło to utratą wzroku, a wdychany pył chorobą płuc. Aby uchronić twarz przed piekącym bólem potęgowanym pod wpływem działania słońca, ochranialiśmy, po pracy, twarz ręcznikami i szukaliśmy tylko cienia.

Wyraz współczucia dla nas wyrażał się na przykład tym, że bez kolejki mogliśmy pobrać obiad i porcje żywnościowe.

Przygnębiający był widok idącej z obozu na statku, kolumny ludzi do pracy, ulicami miasta, o zasłoniętych ręcznikami twarzach. Kolumny robotników idących do pracy na nocną zmianę, zobowiązane były do noszenia zapalonych lamp, ze światłem białym na czele kolumny i czerwonym na końcu.

Moja praca przy „paku” przerwana została dziwnym zrządzeniem losu. Na nosie wyrosły mi trzy duże - wielkości grochu, jakby kurzajki. Na czubku nosa, z boku i pod nosem. Wyglądałem naprawdę dziwnie. Dostałem też zapalenia oczu wymagającego interwencji lekarza.

Zostałem przez niemieckiego brygadzystę zaprowadzony do fabrycznego ośrodka zdrowia i tam oddany pod opiekę lekarzy. W gabinecie było dwóch lekarzy, którzy zaczęli mnie badać. Po zbadaniu oczu i ich zakropieniu lekarstwem, zainteresowali się moimi kurzajkami pod nosem, głośno komentując. Z dyskusji tej wynioskowałem, że szkoda im, by tak młody chłopak marnował się przy tak czarnej robocie. Szukali sposobu, jak ten problem można rozwiązać.

Jestem przekonany, że dzięki zainteresowaniu i interwencji tych lekarzy zostałem zwolniony z pracy przy „paku” i przydzielony do innej, przy której wyleczyłem oczy, zniknęły kurzajki i przestałem unikać słońca.

Na drugi dzień po wizycie u lekarzy - zostałem wezwany do majstra. Wręczył mi kopertę, z którą nakazał mi zgłosić się do Arbeitsamt'u w Policach. Tam otrzymałem skierowanie do pracy w zakładzie ogrodniczym z miejscem zakwaterowania i wyżywienia w obozie na statku „Bremerhaven“. Rozpoczął się mój nowy okres w życiu z literą „P”.

VI. Zakład ogrodniczy

W końcu września 1941 roku skierowany zostałem do pracy w zakładzie pod nazwą „Gartenbau Carl Bootz - Stettin - Pölitz, Hagenerstrasse 1”. Ogród ten mieścił się między obecnymi ulicami: Grunwaldzką - Starzyńskiego - Polną i drogą bez nazwy [Rosenweg - przyp. redakcji] do budynku poczty. Po prawej stronie były baraki komendy policji w Policach.



Na szkicu wyżej - fragment planu Pölitz oparty o podkłady geodezyjne z roku 1930, z nazwami ulic zaktualizowanymi ok. r. 1943. W lewej, dolnej części widoczna jest nazwa „Hindenburg Str.”. To obecna ulica Grunwaldzka. Przesuwając się w prawo znajdujemy budynek oznaczony „Post” - to dawna i obecna poczta. Jeszcze dalej znajduje się „Adolf Hitler Platz”. Obecnie jest to skwer, zwany potocznie placem „przed starą komendą”. Naprzeciw, między dzisiejszymi ulicami Sikorskiego i Kołłątaja, stał ratusz. Teren za pocztą, okolony ulicami: Hagenerstrasse (Starzyńskiego), Feldstrasse (Polna) i Rosenweg (łącznik między Grunwaldzką i Starzyńskiego, wzdłuż budynku poczty) to miejsce po ogrodzie opisanym przez autora.



Widok ogrodu z ogrzewaną szklarnią, strona południowo-wschodnia. Za szklarnią Hindenburg-Straße i gmach ratusza. Z prawej ledwo widoczny parterowy budynek, to sklep warzywno-owocowy z kwiatarnią. Opis autora.

Prawdziwym właścicielem całej nieruchomości, łącznie z domem mieszkalnym zabudowaniami była Niemka, starsza wiekiem pani, żona niemieckiego Żyda. Zginął w Oświęcimiu. W wyniku tego cały ogród przeszedł w posiadanie wyższego oficera Cool Bootz'a. Zajmował on mieszkanie na parterze budynku, wraz z żoną, jej siostrą, piętnastoletnim synem i ośmioletnią córką. Poprzednia właścicielka mieszkała na I piętrze budynku.

Właściciel ogrodu, jako oficer, pełnił służbę w dowództwie w Szczecinie. Poza służbą przebywał w domu z rodziną. Zajmował się wtedy kierowaniem prac w całym ogrodzie. Żona jego zajmowała się gospodarstwem domowym oraz pomagała w prowadzeniu ogrodu.

Siostra żony szefa prowadziła w ogrodowym sklepie sprzedaż kwiatów, warzyw i owoców. Były to produkty z własnego ogrodu oraz dostarczane z hurtowni

w Szczecinie. Niektóre warzywa i owoce, jak kartofle, cytryny czy pomarańcze, sprzedawane były Niemcom na kartki. Syn szefa, należący do organizacji „Hitlerjugend” oraz jego córka uczęszczali do szkoły.

Dane te podaję dlatego, że miały one niemały wpływ na życie toczące się w tym ogrodzie.

Pracę w ogrodzie przejąłem po polskim robotniku, którego szef oddał do obozu karnego za to, że poza pracą pomagał Niemce - żonie Żyda, - a ona pomagała mu w usuwaniu problemów życiowych.



Ja na grządce z różami. Widok ogrodu po stronie południowo-zachodniej. W tyle widać zaplecze budynku poczty. Z prawej strony, niewidoczny przy drodze bez nazwy [Rosenweg - przyp. redakcji], był barak policyjny. Pokazane wyżej zdjęcia, jak i następne z terenu ogrodu, robione były przez syna naszego szefa.

W początkowym okresie moje prace polegały na prostych pracach porządkowych, a później, pod wskazówkami, na pracach związanych z uprawą kwiatów. Zimą, główne prace polegały na paleniu w piecach ogrzewających szklarnie.

Po ośmiu godzinach takiej pracy, wracałem na statek „Bremerhaven”. Panujący w obozie głód zmuszał mnie do podejmowania różnych działań dla jego zaspokojenia. Tak jak mój poprzednik, nawiązałem ukryte kontakty z poprzednią właścicielką - żoną Żyda. To ona, od czasu do czasu i po kryjomu, dostarczała mi miskę zupy.

Ja dla siebie wykorzystywałem w ukryciu plony ogrodowe, nadające się do spożycia, jak marchew, rzodkiewki, brukiew, czasem pomidor, a z owoców jabłka i śliwki.



Moja praca w ogrodowej szklarni przy pielęgnacji kwiatów.

Ze śliwkami, w początkowym okresie pracy, miałem po ich chciwym spożyciu, problem żołądkowy. Przez cały dzień, co kilkanaście chwil, musiałem szukać ustronnego miejsca, by załatwić wiadomą potrzebę.

W okresie palenia w piecach ogrzewających szklarnię, podbierałem z piwnicy kartofle, zjadałem je, po uprzednim ugotowaniu w misce - na palenisku rozgrzanego pieca.

Wkładając cały wysiłek w zdobycie żywności, zaniedbywałem pracę zawodową. Stawała się ona coraz mniej wydajna.

Wynikało to również z mojej choroby i nieobecności w pracy. W czasie mojej nieobecności szef był zmuszony sam z rodziną palić w piecach ogrodniczych. Stan ten spowodował, że wiosną następnego roku, szef zastanawiał się, czy nie zwolnić mnie z pracy i przekazać do Arbeitsamt'u.

W grudniu 1941 roku zdarzyło mi się coś, co mogło skończyć się dla mnie tragicznie, a nawet śmiercią.

W tym czasie, przychodząc rano do pracy w ogrodzie i po rozpaleniu ognia w piecach ogrzewających szklarnię, udawałem się do mieszkania, gdzie od służącej, w kuchni pobierałem do konewki gorącą wodę. Wodą tą, po zmieszaniu z zimną z kranu, podlewałem w szklarni doniczki z kwiatami.

Miałem wówczas podarte buty, które chciałem sobie naprawić, przez wykorzystanie różnych elementów ze starego obuwia. W ogrodzie była stara szopa, w której takie obuwie się znajdowało. Szukając w tej szopie odpowiedniego do tego celu elementu, natrafiłem na drewnianą skrzynię pełną różnych szmat. Po ich wyjęciu, znalazłem na dnie owinięty w szmaty i dobrze zakonserwowany pistolet. Była to broń o długości do 50 cm z rękojeścią od pistoletu, z zamkiem, jednostrzałowym, podobnym do zamku karabinowego. Sprawdziłem komorę - była pusta, naboju nie było. Po zastanowieniu postanowiłem broń oddać szefowi. Z bronią w jednej ręce i z konewką w drugiej, poszedłem do kuchni po gorącą wodę. Mierząc w służącą pistoletem, zażądałem widzenia się z szefem.

Widząc mnie w takim stanie, z piskiem wybiegła do sypialni szefa.

Po chwili drzwi kuchni uchyliły się i ujrzałem w nich szefa z pistoletem w ręku gotowym do strzału. Zrozumiałem grozę sytuacji. Szybko chwyciłem trzymany pistolet za lufę i podałem szefowi. Wyjaśniłem także powód jego znalezienia.

Szef oznajmił mi, że gdybym nadal trzymał pistolet wymierzony w niego - gotów był mnie zastrzelić. Służąca przerażona twierdziła bowiem, że Johann przyśzedł wszystkich ich wymordować. Co szef zrobił z tą bronią nie wiem.

Podejrzewam, że broń ta należała do Żyda, męża Niemki, byłej właścicielki nieruchomości.

Jednak Ktoś nade mną czuwał?

Sytuacja w ogrodzie uległa zmianie po przyjsciu wiosną 1942 roku do pracy drugiego Polaka.

Był nim Tadeusz (Adolf) Władyka - mieszkający również w obozie na statku. Był łodzianinem o 16 lat starszym ode mnie, wdowcem z dwojgiem dzieci, bardzo dobrym ogrodnikiem z zawodu i złotą rączką w każdej robocie. Wiele się od niego nauczyłem.

Od tej pory, szef poświęcał coraz więcej czasu na służbę wojskową.

Podczas pobytu w domu zadawał nam do wykonania roboty planowane do wykonania na tydzień albo i dłużej.

Nastąpił taki podział pracy, że Tadeusz był kierownikiem ds. produkcji kwiatów i warzyw, a ja ds. administracyjno-handlowych. Nastąpił rozwój produkcji, m.in. przez budowę (we własnym zakresie) kilkunastu nowych szklanych inspektów oraz sprowadzeniu sadzonek kwiatów (tulipanów i hiacyntów) z Holandii. Zwiększyła się wydajność naszej pracy i długość czasu pracy dostosowano do potrzeb.

Stosunki między nami a szefostwem ulegały ciągłej poprawie. Coraz więcej obowiązków przejmowaliśmy na siebie. Zacząłem coraz lepiej poznawać język niemiecki. Umożliwiało mi to załatwianie różnych spraw w szczecińskich hurtowniach (dostawy warzyw i owoców), u leśniczego (uzyskiwanie gałęzi świerkowych), czy bezpośrednio pomaganie w sklepie, zwłaszcza przy sprzedaży kartofli i warzyw na kartki.

Poprawiły się również możliwości zaspokojenia naszego głodu - ciągle jeszcze byliśmy na wikcie obozowym.

Zwróciliśmy się do szefowej z prośbą o umożliwienie nam zakupu worka kartofli (50 kg) i ugotowania nam stosownej ich ilości na obiad. Wyraziła na to zgodę. W pierwszym dniu daliśmy całe wiadro kartofli do ugotowania ich w mundurkach. Wszystkie kartofle (nawet bez soli) zjedliśmy we dwóch od razu.

Sposób ten stał się codziennością, z tym tylko, że zdobyliśmy sól. Później dodawaliśmy trochę surowego chrzanu rosnącego w ogrodzie. Z biegiem czasu szefowa, ze swej strony, dodawała do ugotowanych kartofli - pozostałości z własnego obiadu, jak np. ryby czy sałatki warzywne. Nadwyżki nie zjedzonych kartofli zabieraliśmy ze sobą na kolację jedzoną w obozie.

Radykalnej poprawie ulegały warunki wyżywienia i mieszkania po likwidacji obozu na statku „Bremerhaven”. Zniknęły dotkliwie pluskwy i widmo ciągłego głodu.

Ze względu na potrzebę ciągłego bycia w ogrodzie, szef wyraził zgodę na zamieszkanie na terenie ogrodu i przejście na wyżywienie pracodawcy. Zamieszkaliśmy w przybudówce, składającej się z 1 izby, umeblowanej w dwa, a potem trzy łóżka, stół, krzesła, szafę i piec węglowy do ogrzewania.

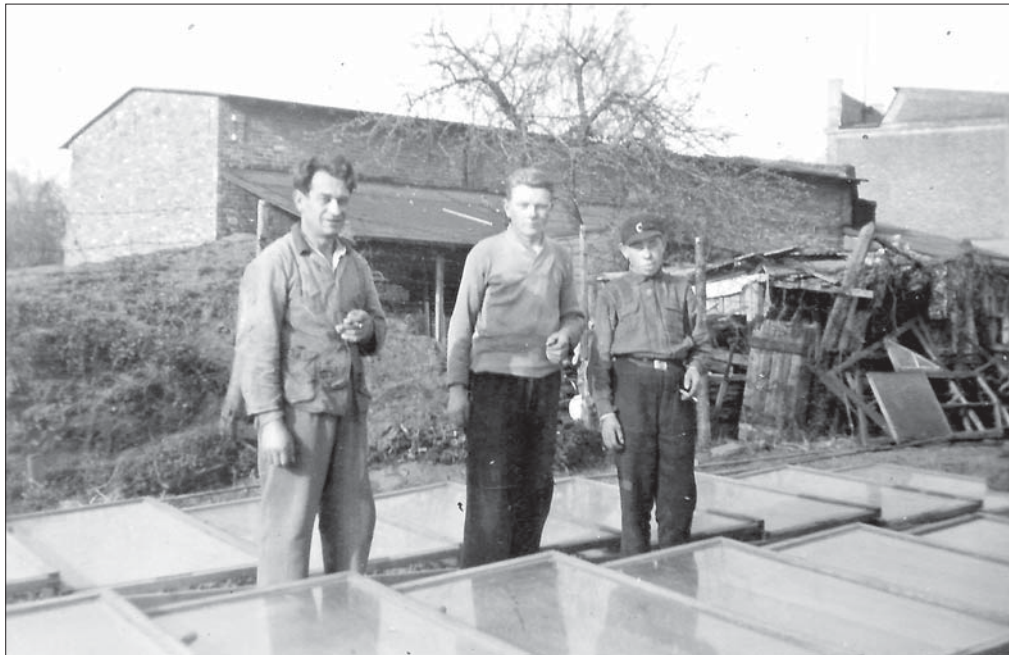


Ja z Tadeuszem w ogrodzie,
na tle ogrzewanej szklarni.

Później do pracy w ogrodzie i zamieszkania z nami doszła trzecia osoba. Był nim młody robotnik rosyjski (Białorusin) o imieniu Iwan. Nosił na piersi oznakę „OST”.

Wolne od pracy mieliśmy tylko po południu w niedzielę. Prace wymagające obecności pracownika, jak np. palenie w piecach w okresie zimy, wykonywali kolejno wyznaczeni dyżurni.





Życie i praca w ogrodzie, rozpoczynając się od godziny 6 rano, trwały czas nieograniczony, zależnie od aktualnych potrzeb. Szefostwo z upływem czasu zaczęło nas co raz lepiej poznawać, doceniać wartość naszej pracy, posiadanych wiadomości oraz pozytywne wartości wychowania i wykształcenia. Spowodowało to w skutkach dalszą poprawę współzycia i stały się jakby stosunkami rodzinnymi.

Zdobyłem takie zaufanie, że dopuszczony zostałem przez szefa do jego prywatnych sekretów z pobytu poza domem, a przez siostrę szefowej do sekretów związanych ze spotkań towarzyskich z przystojnym Francuzem. Doszło nawet do tego, że klienci, dokonujący zakupu w sklepie, mówili, że idą nie do ogrodu Bootza, tylko do Johanna.

Wygląd całej naszej trójki przedstawiam na zdjęciach. Na poprzedniej stronie, od lewej: Iwan, ja i Tadeusz przed wejściem do ogrzewanej szklarni. Z tyłu widoczny budynek mieszkalny ze schodami na pierwsze piętro do mieszkania Niemki (żony Żyda). Wyżej: ja (w środku) z Tadeuszem i Iwanem przy inspekcjach. Z tyłu, z prawej strony widoczna szopa, w której znalazłem pistolet. Z lewej - góra ziemi, w której zbudowaliśmy schron przeciwlotniczy.

VII. Zdarzenia w ogrodzie i mieście

O tym, jak układało się i przebiegało nasze życie, oraz praca w ogrodzie i mieście, charakteryzują występujące i przedstawione zdarzenia.

Podstawą naszego wyżywienia były kartki żywnościowe, które szefowa pobierała i wykorzystywała. Były to kartki dla długo pracujących (Langarbeiter). Inne kartki były dla ciężko pracujących (Schwerarbeiter) i robotników zwykłych.

Za pracę otrzymywaliśmy: śniadanie, obiad i kolację, mieszkanie i minimalną płacę.

Ilość artykułów żywnościowych, którymi dysponowała szefowa, wzbogacana była handlem wymiennym, wg naszych wskazówek:

- chcesz kwiaty czy flance pomidorów, owoców, a nawet szparagów, to niech:
- piekarz da więcej chleba,
- rzeźnik wyrobów,
- rybak ryb itd.

Przynosiło to dla wszystkich pozytywne wyniki.

Istotną pomocą w wyżywieniu, była prowadzona przez nas hodowla królików. Rozrosła się ona, przy dostatecznej ilości karmy z ogrodu, do ilości wystarczającej, by ubijać co tydzień na niedzielny obiad jednego królika.

Dla nas palących papierosy, wygodę stanowiła ogrodowa plantacja tytoniu (założona za zgodą szefa). Kolega Iwan nauczył nas palić jeszcze zielone liście tytoniu zrywane z krzaka. Suszył je pod szkłem i pokruszone zawijał w gazetę, robiąc jakby fajkę. Unoszący się z niej dym, widoczny był z daleka.

Między robotnikami zatrudnionymi w mieście i okolicy, jak i w fabryce zaczęły się tworzyć przyjaźnie i grupy towarzyskie.

W śródmieściu mieściły się dwa hotele z restauracjami. Jeden w rynku, drugi przy obecnej ulicy Grunwaldzkiej, naprzeciwko sklepu naszego ogrodu. Na ulicy tej mieściło się kino, w budynku na I piętrze.

W hotelach jak i restauracjach (kuchniach) oraz piekarniach, masarniach, aptekach, u fryzjerów, u kominiarza, bauera czy w konnym transporcie, zatrudnionych było kilkanaście polskich kobiet i mężczyzn. Grupy te spotykały się w wolnych

chwilach między innymi i po to, by pomagać potrzebującym kolegom z obozów.

Wiadomo było przecież, że:

- ogrodnik, to kwiaty i owoce dla dziewczyny i przyjaciółki,
- rzeźnik, to kawałek wędliny czy mięsa,
- aptekarz, to kieliszek spirytusu czy wódki,
- kominiarz, to kawałek boczku, ukrytego na głowie pod cylindrem, a wynoszonego ze strychu gospodarza,
- restauracyjna kuchnia - to pozostałości chleba i resztki innych potraw,
- bauer to mleko - od naszego kolegi Józka otrzymywaliśmy po litrze, trzy razy w tygodniu.

Tymi zdobyczami staraliśmy się dzielić z naszymi przyjaciółmi z obozu, Alkiem Sową i Stefanem H. Wspólnie jedliśmy obiad w każdą niedzielę. W czasie innych odwiedzin, wkładaliśmy im do torby wcześniej przygotowane produkty żywnościowe.

Spotkania towarzyskie Polaków, zwłaszcza latem, w niedzielne popołudnia, odbywały się nad Odrą, z dala od Niemców. Służyły do wymiany informacji na temat sytuacji na frontach wojny.

Byłem w tych wiadomościach dość dobrze zorientowany.

W zajmowanym mieszkaniu, mimo istniejącego niebezpieczeństwa, mieliśmy zainstalowany głośnik radiowy połączony z radiem w mieszkaniu szefowej. Ona to wieczorem, nastawiała radio na odbiór wiadomości, podawanych po polsku z Londynu.

Obok codziennych spraw toczącego się życia i pracy występowała nostalgia za polskim słowem pisanym. Przypadkowo wpadła mi do ręki gazeta wydawana w Warszawie - tzw. gadzinówka – „Kurier Warszawski”. W gazecie tej, którą przeczytałem od deski do deski - utkwił mi w pamięci, po jednym przeczytaniu, wydrukowany wiersz, którego słowa pamiętam do dziś. Słowa tego wiersza cytuję:

Jak pięknie było,
ciepło i miło,
śmiały się kwiatki w krąg.
Dziś w śnieżne płatki,
przybrane chatki
i śpiew nie płynie znad łąk.
Ptaszkiwie leśni nie nucą pieśni,
znikła woń polnych ziel.
Zima przybyła, ziemię spowiła
w świeżą puszystą biel.
I rozkaz dała, by ziemia spała

pod śniegu szarą mgłą,
aż przyjdzie wiosna,
świeża radosna,
do życia zbudzi ją.

Inną okazją i formą do pomagania więźniom z obozu karnego była ich praca w ogrodzie. Każdej wiosny, gdy w ogrodzie występował nawał pracy, szef wynajmował z komendy obozu grupę do 15 osób, więźniów polskich, a nawet więźniarki Niemki do wykonywania pilnych prac, jak:

- przekopywanie ziemi pod grządki uprawne, przesiewanie ziemi kompostowej potrzebnej do inspektów,
- formowanie zagonów z uprawą szparagów,
- wysiewanie nasion warzywnych,
- wrywanie z ziemi rzodkiewek i wiązanie ich w pęczki, przez więźniarki niemieckie.

Przekonałem szefa i szefową, że zatrudnienie tych więźniów może przynieść więcej szkody niż pożytku. Mogło się bowiem zdarzyć, że wygłodzeni więźniowie zjedzą w ogrodzie wszystko, co się do tego nadaje. Celem uniknięcia tego stanu, zaproponowałem, a pomysł mój został przyjęty, aby szefowa zamówiła w hotelowej restauracji, na okres zatrudnienia więźniów, co dzień kocioł gęstej zupy i wypożyczyła miski i łyżki.

Tak też się stało. Od tego czasu, dwóch więźniów, w porze obiadowej, chodziło do restauracji i przynosiło z niej kocioł zupy. Była ona dzielona przez nich na porcje do spożycia. Pilnujący ich strażnik - otrzymywał obiad przygotowany przez szefową. Spożywał go przy stoliku pod drzewem w ogrodzie. Wszyscy byli zadowoleni. Zdarzało się też, że niektóre Niemki przerzucały ukradkiem przez siatkę, kanapki dla więźniów.

Przy wojsku niemieckim, stacjonującym w mieście, stanowiącym obsługę dział przeciwlotniczych, zatrudniano jeńców radzieckich. Zajmowali się oni transportem konnym rozwożącym zaopatrzenie. Ubrani byli w mundury wojskowe przebarbowane na kolor ciemnozielony.

Jeńcy ci zaczęli, ze słomy, wyplatać ozdobne koszyki na zakupy, różnego rodzaju szkatułki czy koszyczki do przechowywania przyborów do szycia. Wyroby te wymieniali z Niemkami na chleb. O powodzeniu tego przedsięwzięcia świadczył widok wielu Niemek chodzących po mieście z takimi koszykami.

W bezpośrednich rozmowach jeńcy radzieccy wyrażali wielką obawę przed powrotem z niewoli do ojczyzny. Byli przekonani, że zostaną tam potraktowani jako zdrajcy i wywiezieni na Sybir.

Mieli nadzieję, że Niemcy pozwolą im uciec dalej na zachód.

Było to w końcu czerwca 1944 roku, około godziny 6 rano. Będąc w ogrodzie usłyszałem szum przejeżdżających samochodów ciężarowych. Samochody te wypełnione były ludźmi, którzy głośno śpiewali. Były to słowa polskiej pieśni – „Marsz Marsz Polonia”.

Okazało się, że to więźniów obozu koncentracyjnego Stutthof wieziono do jego filii w Mścięcinnie (do 1945 r. niem. Messenthin).

Więźniów tych zatrudniono przy pracach ponad siły. Należało do nich między innymi rozładowywanie barek rzecznych z załadowanych na nich worków z cementem.

Barki przycumowane były w przystani rzecznej, w dole rynku przy drewnianym, zwodzonym ręcznie mostku. Więźniowie wynosili po drabinach, na plecach, worki z cementem. Ładowali na samochody ciężarowe. Rozładowania takie trwały nawet kilka dni, w jednostajnym ruchu z godziny na godzinę. Widziałem kolumny wycieńczonych więźniów, wracających z pracy do obozu w Mścięcinnie. Ciągnęły one zawsze ze sobą wózek z ciałami kolegów.

Opowiadał mi Józek (ten, który organizował dla mnie mleko) zatrudniony u bauera, że któregoś letniego dnia rano w 1944 r. jego gospodarz wszedł do chlewu, gdzie stwierdził brak jednego prosiaka. Zaintrygowany zaczął szukać brakującej sztuki w innych pomieszczeniach. W stodole zauważył na podłodze świeżą ludzką „kupa”. Upewniwszy się, że nie zrobił tego żaden z domowników, powziął pewne podejrzenia.

Powiadomił o nich policję. Przybyli policjanci znaleźli w stodole, ukrytego w słomie, zbiegłego więźnia z obozu koncentracyjnego. Stwierdzono przy tym, że to on zabił prosiaka i zjadł go na surowo, przez to stał się sprawcą powstałej „kupy”. Został zabrany przez policję.

W maju 1944 roku otrzymałem list od chrześnicy mego ojca Władysława B. Pisała w nim, że przebywa w Nowogardzie, gdzie pracuje wraz z mężem w hotelu.

Chciałem ten fakt wykorzystać i ją odwiedzić.

Zwróciłem się do szefowej z prośbą o udzielenie mi trzydniowego urlopu na piątek, sobotę i niedzielę. Uzyskałem na to zgodę. Musiałem jednak uzyskać przepustkę od komendanta policji w Policach, na podróż do Szczecina, a tam drugą, w komendzie, na dalszą drogę do Nowogardu.

Poszedłem do komendanta policji w Policach, który mnie znał, (nazywał Iwanem) i chwalił za dobrą robotę - obserwował mnie jak pracowałem, przez okno swego gabinetu. Przyjął ode mnie paczkę przygotowaną dla niego przez szefową. Poczęstował cygarem, a potem wyrzucił mnie za drzwi do innego pokoju. Kazał wydać mi potrzebną przepustkę.

Moje zadowolenie z zamierzonego wyjazdu popsuł jednak pechowy przypa-

dek. Służąca przybiegła do mnie z informacją, że w kuchni zrobiła się dziura w rurze, przy kranie nad zlewem. Była ona wielkości łebka od szpilki, przez którą woda tryskała do góry. Przypomniałem sobie, że podobne uszkodzenia w rurach cynkowych zainstalowanych w ogrodzie - fachowiec Niemiec zaklepywał młotkiem. Tak i ja zrobiłem.

Zapomniałem jednak o tym, że w kuchni zainstalowana była stara instalacja. Uderzenie spowodowało powstanie dziury wielkości paznokcia. Wtedy to się narobiło. Zanim znaleziono główny zawór i odcięto dopływ wody do całego ogrodu, kuchnia w mieszkaniu została cała zalana.

Szefowa wściekła: wody w ogrodzie nie ma, trzeba podlewać kwiaty, gotować nie ma na czym, do studni daleko - a ja sobie wyjeżdżam, na co ona nie wyraża zgody.

Traf chciał, że przy tej rozmowie, prowadzonej w ogrodzie, kret zaczął budować swój kopiec pod nogami szefowej. Schyliłem się szybko wyciągnąłem kreta z ziemi i rąbnąłem nim o ziemię przy nogach szefowej, która z krzykiem uciekła.

Po upływie dobrej chwili, przyszedł do mnie Tadeusz oświadczając, że szefowa tak zdenerwowanego Johanna, to jeszcze nie widziała i w tym stanie mogę zrobić sobie krzywdę, więc ona wyraża zgodę na mój wyjazd. Sytuację z wodą uratował nasz przyjaciel Alek S., który z fabryki przyniósł odpowiedni kawałek rury z kranem i zamontował w kuchni, w miejsce uszkodzenia.

W piątek rano, z bukietem róż w ręce, wyjechałem pociągiem do Szczecina.

W Szczecinie zgłosiłem się w Prezydium Policji po przepustkę zezwalającą na dalszą podróż do Nowogardu. Dyżurnemu policjantowi przedstawiłem moją sprawę. Oświadczył mi, że sam nie może podjąć decyzji i muszę poczekać na przyście komendanta.

W trakcie czekania na jego przyście - do dyżurnego zgłosił się mężczyzna, cudzoziemiec, który w swoim języku przedstawił problem do załatwienia. W żaden sposób nie mogli się dogadać. Dyżurny widząc mnie rozbawionego tą sytuacją, zapytał z czego ja się śmieję i czy rozumiem czego przybyły chce. Potwierdziłem, że rozumiem i wyjaśniłem, że owym mężczyzną jest Hiszpan, który przyjechał na ochotnika do pracy. Pracuje już ponad dwa lata. W tym czasie podarło mu się ubranie i buty. Nowych nie może w żaden sposób kupić, bo nie ma odpowiednich zezwoleń. Prosi więc, by wydać mu odpowiednie kartki, by mógł potrzebną odzież zakupić. Dyżurny zapytał, czy znam język hiszpański. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że takiego języka nie znam. Pokiwał tylko głową nie mogąc zrozumieć, w jaki sposób ja porozumiałem się z Hiszpanem. Dyżurny nie wiedział o istnieniu i nie znał międzynarodowego języka słów, gestów i mimiki.

W międzyczasie przyszedł komendant policji. Przyjął mnie w swoim gabinecie na I piętrze. Prosząc go o wydanie przepustki, na dojazd do Nowogardu,

przedstawiłem to w ten sposób, że do Nowogardu przyjechała moja siostra, która ma wiadomości o chorej matce, a której nie widziałem od kilku lat i z którą straciłem kontakt.

Komendant początkowo odmówił spełnienia prośby, stwierdzając, że żołnierze niemieccy na froncie też nie dostają przepustek. Prosiłem jednak dalej mówiąc, że to tylko dwa dni, że zaraz wracam do pracy. Na potwierdzenie tych słów wyjąłem z kieszeni „List od siostry” z wiadomością o chorobie matki.

Komendant oświadczył, że nie ma akurat tłumacza, by mu przetłumaczył treść listu, więc musi mi wierzyć na słowo. Słyszając to zdrętwiałem ze strachu. W liście było wszystko, tylko nie od siostry i nie o chorobie matki.

Komendant popatrzył na mnie, kazał mi wyjść i zgłosić się do dyżurnego. Wychodząc z gabinetu zauważyłem, że komendant sięgnął po słuchawkę telefonu.

Zgłosiłem się powtórnie do dyżurnego, który zapytał o decyzję komendanta - odpowiedziałem, że przepustkę otrzymam od dyżurnego. Popatrzył na mnie, pokręcił głową i powiedział z podziwem w głosie „Ale ty masz gadane”. Hiszpana już nie było, a ja przepustkę otrzymałem.

Znowu Ktoś nade mną czuwał.

Na dworcu kolejowym byłem legitymowany przez policję kolejową. Zostałem przepuszczony. Innych Polaków, nie mających przepustek i bez litery „P” policja zatrzymywała.

Wizytę w Nowogardzie uważam za bardzo udaną. Bukiet róż, który ofiarowałem chrześnicy ojca, został przekazany właścicielce hotelu. Zrobiło to wrażenie, które znalazło odbicie w uroczystej kolacji. Czas upłynął na rozmowie i wspomnieniach prawie do godzin rannych.

W poniedziałek w godzinach popołudniowych wróciłem do pracy w ogrodzie. Szefowa gdy mnie zobaczyła, nakazała mi natychmiast iść spać i dobrze wypocząć.

Będąc w Policach od 1940 roku przeżyłem wszystkie naloty bombowe na fabrykę i miasto. A było ich kilkanaście. W początkowym okresie nie czyniły one większej szkody fabryce. Większość bomb spadła na miasto i okolice oraz sąsiadujące łąki i pola.

W czasie jednego z takich nalotów całkowicie zbombardowany został Ratusz Miejski, znajdujący się na rogu rynku i obecnej ulicy Wojska Polskiego. [Pomyłka autora, ratusz stał przy obecnej ul. Grunwaldzkiej, między współczesnymi ulicami: Kołłątaja i Sikorskiego - przyp. redakcji].

Dwie bomby spadły w ogrodzie, a trzecia przed wejściem do ogrodu, niszcząc sąsiadujący budynek.

W tym czasie Niemcy plotkowali, że tak się dzieje, ponieważ w budowę fabryki zaangażowany jest poważny kapitał państw zachodnich. Nie są oni zaintere-

sowani zniszczeniem fabryki i zaprzestaniem jej produkcji. Produkowanie przez nią benzyny była Zachodowi na rękę, bo Niemcy wykorzystywali ją w wojnie na terenie wschodnim.

Dopiero od 1944 roku naloty bombowe dzienne i nocne stawały się coraz cięższe i skuteczniejsze. Ostatnie naloty - zapobiegające przejęciu niezniszczonej fabryki przez wojska radzieckie - całkowicie unieruchomiły jej produkcję.

Samoloty zrzucały różnego rodzaju bomby. Zrzucano między innymi bomby łańcuchowe, zegarowe, miny powietrzne i bardzo ciężkie przebijające nawet grube betonowe schrony. Jedna z takich bomb wybuchła w mieście na podwórku jednego z domów. Utworzyła ona głęboki i szeroki lej, na dole którego była woda. Wysadzona przez wybuch ziemia przykryła piętrowy dom do wysokości dachu. Zrobiło to na Niemcach takie wrażenie, że obawiali się korzystać ze schronów betonowych, szukając innych sposobów ochrony, na przykład w polu.

Jedna z min powietrznych wybuchła w pobliżu dwupiętrowego schronu betonowego. Znajdował się on przy ulicy, po lewej stronie za dworcem kolejowym w stronę cmentarza. Wybuch spowodował, że wszystkie drzewa otaczające ten schron, na obszarze kilkuset metrów zostały ścięte, jak kosą, na wysokości jednego metra nad ziemią. Drzwi na parterze schronu zostały wyważone, a osoby znajdujące się na parterze zginęły.

Będąc ciekaw jak wygląda taki schron w środku po wybuchu miny lotniczej, poszedłem go obejrzeć. Wejście było zabite skrzyżowanymi deskami. Uchylając je, wszedłem do środka. Spostrzegłem, że moje poczynania obserwuje cywilny Niemiec. Po wejściu do ponurego środka zauważyłem na ścianach odpadające płyty betonu, a spod nich wystające pręty metalowego uzbrojenia.

Nagle podłoga pod moimi nogami skończyła się. Wpadłem do głębokiej na ponad 2 metry, o szerokości i długości do 2,5 metra, pustej piwnicy. Leżąc na jej dnie, spostrzegłem coś, co wywołało mój strach. Z odłupanych z betonu ścian piwnicy wystawały żelazne pręty zbrojeniowe, dochodzące do długości 50 centymetrów, tworzące naokoło piwnicy gęsty las, jakby sterczących bagnetów.

Spadając - tylko cudem nie nadziałem się na ich ostrza. Opatrzność nade mną czuwała. Nad piwnicą pojawił się cywilny Niemiec, pytając, czy może mi pomóc. Podziękowałem i sam chwytając się metalowych prętów wydostałem się z piwnicy. Schron ten wycofany został z użytkowania i oddany na potrzeby wojska.

By uchronić się przed skutkami nalotów bombowych stosowano różne środki. W fabryce Niemcy zbudowali kilkanaście różnych typów i wielkości schronów betonowych, od pojedynczych do wieloosobowych. W piwnicach domów budowane były schrony, a w ogrodach i wolnych placach rowy przeciwlotnicze. W ogrodzie, wspólnymi siłami, ja, Tadeusz i Iwan zbudowaliśmy w starej ubitej górze ziemi głęboki rów, tworząc jakby ziemiankę, przykrytą z wierzchu grubą

plytą stalową, przysypaną ponadmetrową warstwą ubitej ziemi. W schronie tym przesiedzieliśmy kilka nalotów. Miejsce to przedstawiam na poniższym zdjęciu.

Ostrzeżeniem dla ludności o spodziewanych nalotach bombowych - były komunikaty nadawane przez radio typu „Achtung - Achtung”. W mieście były trzy schrony podstawowe:



Widok wysokiej szklarni od strony południowej ogrodu. Spadły za nią i wybuchły dwie bomby.

1. w podziemiach starej kaplicy w rynku (nie posiadam żadnych informacji aby w tych podziemiach istniały jakieś tunele),

2. wybudowany naprzeciw Poczty, duży jednopiętrowy schron betonowy zachowany do dzisiaj. Obecnie mieści się tam Archiwum Miejskie.

Pewnego razu, do tego schronu uciekałem przez ogród, z córką szefowej na ręku, razem z szefową i jej siostrą oraz z Tadeuszem. Nalot już się rozpoczął. Furtka w ogrodzie, obok sklepu, była zamknięta na łańcuch z kłódką, kluczy do niej nie wziąłem. Nie wiem w jaki sposób i skąd wziąłem siłę, że łańcuch ten rozerwałem. Dobiegając do schronu wybraliśmy bliższe wejście. Podmuch wybuchającej bomby, przy drugim wejściu, wrzucił nas do środka.

3. wysoki dwupiętrowy schron betonowy, za dworcem kolejowym w stronę cmentarza. O czym już wspominałem. Obok tego schronu, w stronę boiska sportowego, zainstalowane było działo armatnie dużego kalibru. Obsługa tego działa strzelała zarówno do samolotów, jak i do nieprzyjaciela znajdującego się już na prawym brzegu Odry.

Betonowy schron służył obsłudze dział za magazyn amunicji. Został wysadzony przez Niemców w chwili opuszczania miasta. Obecnie jest to rumowisko tworzące górę betonu.

W praktyce okazało się, że szereg osób rezygnowało z korzystania ze schronów przeciwlotniczych. Woląo kryć się przed nalotami, uciekając poza obręb miasta i fabryki. Najczęściej uciekali nad Odrę, by ukryć się tam w stogach siana. W fabryce zezwolono, by samochody ciężarowe zabierały robotników i szybko wywozili ich w bezpieczne miejsca.

W czasie jednego z nalotów, wraz z Tadeuszem, skryliśmy się pod stogiem siana na brzegu Odry. Był moment, że leżąc pod tym stogiem usłyszałem dziwny szum. Odruchowo nogi podciągnąłem pod siebie. Coś ciężkiego upadło obok mojej nogi. Chciałem to podnieść - było gorące. Był to odłamek od rozerwanej bomby.

Ktoś nadal nade mną czuwał...

Do nowych obiektów wybudowanych przez Niemców siłami robotników i więźniów, należało osiedle bloków mieszkalnych za torami kolejowymi i stadionem sportowym, a także okazały dworzec kolejowy. Dawny dworzec, typowy dla prowincjonalnego miasteczka został rozebrany. Nowy, z przestronnym budynkiem, peronami i przejściami podziemnymi istnieje do dzisiaj.

Obserwując budowę nowego dworca nie zauważyłem niczego, co by wskazywało na istnienie podziemnych przejść czy tuneli. W ścianach przejść podziemnych do peronów znajdowały się pomieszczenia gospodarcze, na różne przedmioty i narzędzia.

Po skończonych nalotach bombowych, znajdowano niewypały bomb lotniczych, zegarowych i pocisków artyleryjskich. Niewypały te, przed ich rozbrojeniem, okrywane były belami torfu, by zniwelować skutki niespodziewanego wybuchu i rażenia odłamkami. Do rozbrojenia niewypałów kierowani byli ochotnicy więźniowie. Skłaniani do tego różnymi sposobami i zachętami.

Naloty bombowe dokonywane zarówno w nocy, jak i w dzień, przez samoloty amerykańskie i angielskie, powodowały śmiertelne ofiary. Ofiarami byli zarówno Niemcy, robotnicy przymusowi, cudzoziemcy, jak i więźniowie obozów koncentracyjnych.

Sposób chowania ofiar nalotów przedstawiam w opisie pogrzebu, w którym osobiście brałem udział. Opisowi temu nadałem tytuł: „Mieli się pobrać”.

Marta była Polką, pochodziła z Wilna. Niemcy uważali ją za Litwinkę.

Pracowała, razem z kilkoma Polkami, w hotelu po drugiej stronie ulicy od ogrodu. Poznałem ją w czasie kontaktów towarzyskich. Przypadliśmy sobie do gustu. Choć była o dwa lata starsza ode mnie, staliśmy się parą. Wolne chwile spędzaliśmy razem, chodząc m.in. na spacerzy nad rzekę.

Alek Sowa - pochodził z Gdyni, pracował w fabryce jako ślusarz precyzyjny. Mieszkał w obozie Pommernlager. Jako przyjaciel bywał u nas w ogrodzie. Często wspólnie jedliśmy niedzielny obiad.



W czasie takich spotkań zapoznałem Alka z Martą. I tak to się zaczęło.

Pewnego dnia przyszli do mnie razem, że tak powiem z prośbą. Okazało się, że są w sobie zakochani. Wspólnie planują swój ślub i życie po wojnie. Dlatego proszą mnie, bym zrozumiał ich sytuację i pozwolił im być razem i nadal pozostał ich przyjacielem.

Cóż miałem robić - nie mogłem być przecież przeciwnikiem takiej miłości i stracić przyjaciół. Wyraziłem zgodę na tą radosną nowinę.

Przypomniała mi się wtedy scena opisywana w „Panu Wołodyjowskim” z Krzysią i Ketlingiem.

W przedostatnim nalocie i zbombardowaniu m.in. Pommernlager - Alek został ranny. Umieszczony został w

izbie chorych w obozie w Jasienicy, a po wyleczeniu w obozie zwanym Bau I. W czasie choroby, Marta wspomagała go jak mogła - głównie przez organizowanie jedzenia, które ja dostarczałem choremu.

Po wyzdrowieniu Alek - cały czas zakochany - spoważniał i zaczął zachowywać się tak jakby przewidywał swój dalszy los. Zaczął robić różne pamiątki, takie jak sygnety, medaliki i rozdawać je Marcie i przyjaciołom. Ja otrzymałem od niego fotografię z domu rodzinnego, którą mam dotychczas. Zdjęcie jego, zamieszczam wyżej.

Pamiętam wieczór przed ostatnim nalotem na fabrykę. Alek postanowił wtedy, że podczas nalotu uciekać będzie poza miasto, za tory kolejowe. Namawialiśmy go, by razem z nami uciekał nad Odrę - gdzie naszym zdaniem - będzie bezpieczniej. Nie wyraził na to zgody.

Tej nocy nastąpił ciężki nalot bombowy na fabrykę i okolice. Po zakończeniu nalotu - powracając do miasta we mgle (fabryka była sztucznie zadymiona) - otrzymaliśmy wiadomość, że Alek nie żyje. Zginął od wybuchuminy pod wiaduktem toru kolejowego. Rano wraz z Martą znaleźliśmy ciało Alka, leżącego, w swoim ubraniu, na posadzce, prowizorycznej kostnicy - wśród ciał innych nieboszczyków.

Marta zdjęła zegarek z ręki Alka. Pobiegła też na pocztę, by przesłać, do rodziny Alka w Gdyni, wiadomość o jego śmierci. Nie wiem, czy wiadomość ta została odebrana, bo tam toczyły się już wojenne działania.

Na drugi dzień, Niemcy zorganizowali dla poległych w nalocie uroczystości pogrzebowe. Na cmentarzu - za dworcem kolejowym i za piętrowym schronem betonowym, z wejściem po lewej stronie szosy - ustawione zostały w równych rzędach trumny z ciałami Niemców - przykrytych narodowymi flagami. Początkowo, różne delegacje, orkiestra, przemowy, rodziny i tłum uczestniczących w pogrzebie.

Ja z Martą, w swojej naiwności, byliśmy przekonani, że obok pogrzebu Niemców, odbędzie się również pochowanie ofiar nalotu, robotników cudzoziemskich. Przygotowałem się na tę uroczystość.

Zakupiłem w ogrodzie i z Tadeuszem zrobiłem okazały wieniec z kwiatami. Idąc na cmentarz, razem z Martą i niosąc wieniec, włączyliśmy się w pochód innych uczestników.

Dopiero stojąc na cmentarzu, w tłumie Niemców, słuchając ich mówców i obserwując przebieg ceremoniału zorientowaliśmy się, że wśród wystawionych trumien nie ma trumien z ciałami cudzoziemców.

Obok stała gromadka robotników z obozu karnego z łopatami w ręku. Przygotowani byli do zasypywania grobów uprzednio wykopanych.

Zwróciłem się do nadzorującego wachmana z pytaniem, gdzie są pochowani cudzoziemcy polegli w czasie nalotu. Wskazał mi nieopodal świeżo zakopany, wyrównany równo z ziemią rów. W rowie tym, stanowiącym bezimienną wspólną mogiłę, pochowani zostali Polacy.

Stało się wówczas coś takiego! Ja Polak z literą „P” na piersi - z wieniec w ręku - w towarzystwie Marty, oddaliśmy się od tłumy Niemców i na ich oczach, zbliżamy się do świeżego, zrównanego z ziemią wspólnego grobu. Składamy na tej mogile wieniec. Marta uklękła, z szyi zdjęła medalik, wygrzebała w mogile ręką dołek i w nim go zakopała. Po krótkiej modlitwie wstała.

Bokiem, bokiem, oddaliśmy się z cmentarza. Odchodząc słyszeliśmy jeszcze pieśni, niemieckie okrzyki i odgłosy orkiestry. Na mogile Alka pozostał samotny wieniec i szum drzew kołyszących go do wiecznego snu.

Po pewnym czasie, Marta się trochę uspokoiła. Przedstawiła mi swój problem do rozwiązania. Była w tym czasie zatrudniona w charakterze niańki do niemowlaka, dziecka właściciela hotelu. Przygotowywał się z rodziną do obowiązkowej ewakuacji. Zaproponował Marcie, jako niani, wspólny wyjazd na zachód.

Marta nie chciała wracać na Litwę, do warunków znanych jej z czasów władzy radzieckiej. W Polsce nie miała żadnej rodziny, czy przyjaciół. Wraz ze śmiercią Alka, wszystkie jej plany legły w gruzach. Mimo starań nie umiałem jej pomóc. Wkrótce po tej rozmowie dowiedziałem się, że wyjechała z rodziną swego szefa na zachód. Od tej pory wszelkie kontakty z Martą urwały się.

Jedną ze skuteczniejszych metod obrony przeciwlotniczej, było zastosowanie przez Niemców aparatów do wytwarzania i rozpraszania sztucznej mgły. Wytwarzana mgła była tak gęsta, że ograniczała widoczność do bliskiej odległości, była dusząca i łzawiła oczy. Ale fabrykę potrafiła ukryć.

Obsługą tych aparatów, zajmował się specjalny, zgrupowany oddział pomocniczych sił wojsk niemieckich. Składał on się z kobiet estońskich. Ubrane one były w mundury, koloru wojsk lotniczych, składające się z bluzy, spodni, butów z cholewką i nakrycia głowy (furażerki). Roboczym strojem był kombinezon podgumowany z kapturem, rękawice i maska gazowa. Warunki bytowe tych kobiet niewiele różniły się od innych. Mieszkały w obozowych barakach, izbach wieloosobowych, spały na łóżkach piętrowych. Otrzymywane pożywienie oceniały, jako niewystarczające.

W końcu 1944 roku ruch w sklepie ogrodniczym z kwiatami, owocami i warzywami był niewielki. Skorzystała z tego siostra szefowej, która zlecała mi spełniać rolę sprzedawcy w tym sklepie. W czasie takiego „dyżuru” w sklepie zjawily się dwie umundurowane dziewczyny, Estonki z oficerskimi dystynkcjami. Chciały zakupić owoce i warzywa bez obowiązujących kartek.

Poznałem Izę pochodzącą z Tallina. Wysoka, wysportowana, blondyna o smukłych nogach. Zacząłem jej pomagać jak mogłem. Znajomość nasza przekształciła się w młodzieńczą gorącą miłość - pokonującą wszystkie przeszkody. Doszło do tego, że w czasie nalotów bombowych, Iza opuszczała stanowisko bojowe przy aparacie i w roboczym stroju przybiegała do mnie, do ogrodu.

Nie baliśmy się nalotów. W czasie ich trwania, czas spędzaliśmy razem, przytuleni do siebie, w ogrodowym, wykopanym w ziemi, schronie przeciwlotniczym.

Prawa wojny były jednak nieubłagane.

Po unieruchomieniu fabryki przez naloty bombowców, niepotrzebne stały się aparaty do robienia mgły i ich obsługa. Zgrupowany oddział kobiet estońskich - w obawie przed pojmaniem ich przez wojska radzieckie - otrzymał rozkaz ewakuacji na zachodnie tereny Niemiec.

Było to w marcu 1945 roku. W dniu tym widziałem się z Izą po raz ostatni. Stała na peronie dworca kolejowego w towarzystwie swych koleżanek. Na mój widok, Iza pożegnała mnie skinieniem ręki, przesyłając mi całus. Odwzajemniłem się jej tym samym. Podstawionym pociągiem odjechała w stronę Szczecina.

Nadeszły później do mnie wiadomości, że oddział tych kobiet estońskich nie zdążył uciec na zachód. Stało się dla nich najgorsze, dostały się w ręce żołnierzy sowieckich. Ślad po nich zaginął.

Potrzeby wojny spowodowały, że do wojska Niemcy powoływali prawie wszystkich mężczyzn i dorastającą młodzież. Syn szefa, 18-letni chłopak, odszedł na front wschodni w formacjach kształcących przyszłych oficerów. Szef, wyższy rangą oficer wojskowy, otrzymał rozkaz wyjazdu na front wschodni. O ofiarach z tego frontu informowała prasa, zamieszczając całe strony z nekrologami i nazwiskami żołnierzy poległych za wodza i ojczyznę.

Przed wyjazdem na front, szef przyjechał ze Szczecina pożegnać się z rodziną. Wychodząc na dworzec kolejowy, poprosił mnie, bym przebrał się w niedzielne ubranie i odprowadził go do pociągu - niosąc jego walizkę.

Jego rodzina została w domu. Stała się rzecz nie do pomyślenia. Wyjeżdżającego na front - wyższego rangą oficera w mundurze wojsk niemieckich - stojącego na zatłoczonym peronie dworca kolejowego, żegna nie rodzina, a młody Polak z literą „P” na piersiach.

We wspólnym uścisku dłoni, życzyliśmy sobie przeżycia wojny i szczęśliwego powrotu do rodzinnego domu.

Nadszedł przełomowy w skutkach rok 1945. Po zaprzestaniu produkcji, po zbombardowaniu fabryki - rytm życia i pracy - zarówno mieszkańców miasta, jak i robotników z obozów, uległ radykalnej zmianie. Robotnicy zostali wykorzystani do innych prac, a w szczególności do budowania umocnień wojskowych i prac porządkowych.

Z prawego brzegu Odry dochodziły odgłosy kanonady dział artyleryjskich. Nocą ich wybuchy oświetlały niebo. Ustawione w mieście, za dworcem kolejowym, działo odpowiadało ogniem, wysyłając pociski na drugi brzeg Odry.

Na ulicach pojawiły się frontowe oddziały wojsk, a ich czołgi zajmowały skryte pozycje za budynkami szosy prowadzącej do Jasienicy.

Przez miasto zaczęły przejeżdżać na zachód, gromady wozów konnych - z Niemcami (bauerami) uciekającymi z prawego brzegu Odry. Na wozach krytych plandekami, na wzór wozów kolonistów amerykańskich, wieźli swój dobytek z uwiązany do wozu bydłem. Jedna z takich krów, kulejąca, nie mogąca dalej iść, została zatrzymana i wprowadzona.

Dokonał tego jeden z żołnierzy niemieckich, pracujący w konnym transporcie

obsługującym stanowisko ogniowe. Konie miały swoją stajnię w zabudowaniach ogrodu. W stajni tej, żołnierz wraz z zaprzyjaźnionym kucharzem zabili po kryjomu krowę, a mięso ugotowali w kotle wojskowym, podzielili. Nam przydzielili pokaźną porcję ugotowanej wołowiny. Wystarczyła ona na kilka dni dla kilku osób. Skorzystała z tego szefowa, estońskie dziewczyny i przyjaciele z obozu.

W zakładzie ogrodniczym pozostało tylko nas czworo: szefowa z siostrą (szef na froncie, syn w wojsku, córka u rodziny na wsi) i ja z Tadeuszem (Iwan wcześniej zabrany został do prac budujących umocnienia wojskowe).

W tym układzie, prace w ogrodzie zostały ograniczone. Obejmowały one głównie utrzymywanie przy życiu kwiatów i roślin, przez podlewanie, ogrzewanie szklarni i inspektów (przykrywanie matami słomianymi).

Handel w sklepie został przerwany. Wojsko zajęło sklep z czynnym aparatem telefonicznym.

Władze w mieście przejmowało wojsko. Na mieście zaczęły się pokazywać patrole wojskowe i żandarmeria. Patrolowały w dzień i w nocy. Miasto stało się miastem frontowym. Wody rozlanej Odry sięgały granic miasta.

Niemieckim mieszkańcom miasta jak i wsi (bauerom) wydany został nakaz przygotowania się do ewakuacji. Rozkaz ewakuacji wydany został w trzeciej dekadzie marca 1945 roku.

Gospodarze wiejscy z dobytkiem na wozach ciągnionych przez konie, a mieszkańcy miasta z walizkami, transportem kolejowym udali się w drogę na zachód. Miasto opustoszało - zostały tylko wojsko i niedobitki cywilnych Niemców.

W ogrodzie zostaliśmy sami. Tylko ja z Tadeuszem. W tej sytuacji musieliśmy podjąć decyzję - biorąc pod uwagę, że nie możemy zostać sami w ogrodzie, zmuszeni do ukrywania się przed żandarmerią wojskową, oraz że zaistnieje realne niebezpieczeństwo utraty życia - w razie bezpośredniego ataku na miasto, ze strony wojsk radzieckich i jego obrony przez wojska niemieckie.

Postanowiliśmy, że będziemy się ewakuować z miasta razem z Polakami z obozów pracy. Dołączyliśmy do kolegów z Pommernlager i Bau I. Przed ewakuacją, przygotowaliśmy się do przewidywanego wymarszu. Do małych walizek zapakowaliśmy tylko niezbędne rzeczy osobiste, do plecaków, zrobionych z worków, załadowaliśmy produkty żywnościowe, zwłaszcza chleb, mąkę, ryż, makaron, ziemniaki i przetwory mięsne w ilościach i ciężarze pozwalających na ich dźwiganie. Produkty te pochodziły z zapasów pozostawionych przez szefową.

Rankiem 24 marca 1945 r. - ustawieni w kolumny, pod nadzorem wartowników niemieckich, jadących na rowerach, wyruszyliśmy pieszo na zachód w stronę morza. Ogród zostawiliśmy bez opieki na łaskę losu. Uprzednio pootwieraliśmy klatki, wypuszczając króliki na wolność.

VIII. Ueckermünde

Po jednodniowym marszu i noclegu w lesie, na mokrej gołej ziemi, następnego dnia dotarliśmy do Ueckermünde, miasta położonego nad Zalewem Szczecińskim. Zgromadzeni na boisku sportowym otrzymaliśmy, ostatni chyba, obiad w postaci miski gęstej i dość smacznej zupy. Z otrzymaniem tego obiadu mieli kłopot tylko ci, co po drodze pieszej chcieli się pozbyć ciężaru i wyrzucili miski.

Zostaliśmy podzieleni na grupy, około 50-osobowe. Ja z Tadeuszem, razem z grupą, zostaliśmy skierowani (na zamieszkanie i wyżywienie) do czynnej jeszcze cegielni. Mieszkaliśmy i spaliśmy pokotem, na stropie pieca wypalającego cegłę. Było ciepło, ale spanie w ubraniu bez przykrycia, w grubej warstwie kurzu ceglanoego, przy korzystaniu tylko z zimnej wody spowodowało, że po kilku dniach pojawiła się plaga robactwa, białych bieliźnianych wszy wielkości mrówek. Znajdowały się w każdym załomie bielizny np. pod pachami.

Byliśmy pod nadzorem. W nocy pilnowali nas uzbrojeni wartownicy.

Skierowano nas do pracy przy kopaniu okopów w lesie nad zalewem. Wyżywienie otrzymywaliśmy w cegielni - raz dziennie. Było tak marne, że łopaty stały się ciężarem. Zjadano wszystko co złowiono i co się ruszało, np. kreta.

Na placu w cegielni, po pracy, paliło się wiele ognisk, na których warzono sobie różne potrawy. Mnie z Tadeuszem ratowały, kończące się już zapasy żywności zabrane z Polic.

Trzeba było podjąć działania, by wyrwać się z tego położenia.

Pomysł przyszedł nagle. Jeden, ze starszych wiekiem nadzorujący w pracy, cywilny Niemiec, wziął mnie do miasta, by przynieść potrzebne narzędzia. W drodze, na moje pytania, odpowiedział, że w mieście istnieje kilka zakładów ogrodniczych. Teraz wiosną, potrzebują one rąk do pracy. Podał mi nawet adres takiego zakładu. Na drugi dzień urwałem się z pracy i udałem pod wskazany adres.

Właścicielowi ogrodu przedstawiłem swoją sprawę, z prośbą o zatrudnienie. Przekonywałem go, że jest nas dwóch, dobrych fachowców ogrodników. Pokazałem „Arbeitsbuch” z zapisem pracy w Policach. Dodałem, że za swoją pracę nie chcemy zapłaty. Będziemy pracować za wyżywienie, jakiś kąs do spania i trochę tytoniu do palenia.

Ogrodnik wykazał zainteresowanie. Mój Anioł opiekuńczy znów dał o sobie znać. Przy rozmowie z ogrodnikiem był obecny jego przyjaciel, kierownik urzędu pracy (Arbeitsamt'u), który zapewnił, że sprawę załatwi bez problemu. Następnego dnia, na apelu porannym, ja z Tadeuszem, zostaliśmy wywołani z szeregu, wręczono nam kartkę z adresem i nakazano natychmiast zgłosić się na nowe miejsce pracy.

Nasza pierwsza prośba, zgłoszona nowemu szefowi została spełniona. Umożliwiono nam wykąpać się w ciepłej wodzie oraz wygotować i wyprać bieliznę. Pozbyliśmy się nabytego robactwa - wszy bieliźnianych. Spanie otrzymaliśmy na poddaszu budynku.

W trzeciej dekadzie kwietnia 1945 r przez miasto przeszła potężna fala cofających się żołnierzy niemieckich. Ruszył naprzód front Armii Czerwonej. Wśród Niemców powstał prawdziwy popłoch. Szykowali się do ewakuacji. Szefa i jego rodzinę przekonaaliśmy, że ucieczka nie ma sensu, bo i tak daleko nie uciekną, a mogą stracić wszystko. Z obawą, ale postanowili pozostać w mieście.

Niemcy rozpoczęły szaber i gromadzenie żywności. Wraz z Tadeuszem postaraliśmy się i na wózku ręcznym przywieźliśmy z młyna dwa worki mąki. Okazała się bardzo przydatna.

Był to chyba 25 kwietnia 1945 r. - żołnierze Armii Czerwonej zajęły, bez obrony, miasto. Niemcy zdążyli tylko wysadzić zwodzony most na kanale. W krótkim czasie Rosjanie tę przeszkodę usunęli - budując drewnianą przeprawę. Na wszystkich budynkach powiewały białe flagi.

Zachowanie frontowego wojska radzieckiego przekraczało jednak oczekiwania. Na podwórku domu ustawiono działa moździerzowe, z których oddawano kilkanaście strzałów. Powodowało to, że w domach wylatywały wszystkie szyby.

Bez względu na stopień wojskowy, rozpoczęło się polowanie.

Żołnierze interesowali się szczególnie zegarkami, wódką i kobietami. Zaczął się rabunek sklepów. W drogeriach szukano wódki. Brano wszystkie płyny, które na etykietach miały słowa „spirytus”. Na drugi dzień po zajęciu miasta, pojawiły się pożary domów mieszkalnych.

Zostaliśmy wyzwoleni. Byliśmy wolni. Ja z Tadeuszem - już bez litery „P” na piersi, ale z biało-czerwoną opaską na lewym rękawie, staraliśmy się obronić szefa i jego rodzinę przed rozwydrzonymi wojakami

Nadszedł czas powrotu do rodzinnego domu. Nadarzyła się okazja. Na teren ogrodu wjechał wóz - małżonków niemieckich - powracających z nieudanej ucieczki. Zatrzymali się na odpoczynek i popas dwóch koni. Na wozie była również dziewczyna, polska Zosia. Zatrudniona była u bauerów, z którymi razem uciekała.

Stojący w ogrodzie wóz zauważyli oficerowie radzieccy jadący bryczką, ciągniętą przez jednego ciężkiego konia pociągowego, z przywiązaniem z tyłu koniem wierzchowym. Oficerowie „przymusili” Niemców do wymiany koni. Zabrali dwa konie do swojej bryczki - zostawiając konia pociągowego i wierzchowca.

Niedługo przekonaliśmy się dlaczego tak zrobili. Koń pociągowy był koniem frontowym, chodzącym w zaprzęgu artyleryjskim. Przeraziły go wystrzały, które jak i uderzenia batem powodowały niepoohamowany bieg. Kończył on się wtedy, gdy łbem uderzył w przeszkodę lub ścianę. Postanowiliśmy wykorzystać tę okazję dla zdobycia środka transportu na powrót do kraju.

Przy pomocy oficera radzieckiego przekonaliśmy Niemców do oddania nam wozu z zamienionym zaprzęgiem konnym. Niemcom pozwoliliśmy zostawić ich walizki i rzeczy osobiste.

Po uzupełnieniu zapasów żywnościowych dla siebie (oj, przydała się mąka przywieziona z młyna) i karmy dla koni (siano - ziarno) oraz załadowaniu wozu zdobyczami wojennymi (rowery - harmonia) rozpoczęliśmy powrót do domu.

Wóz, z widoczną biało-czerwoną flagą, z przyczepionym z tyłu koniem wierzchowym, miał na pokładzie 3 osoby: Tadeusza, mnie i Zosię - podobno warszawiankę. Wyruszając na trasę w kierunku Szczecina - ustaliliśmy, w obawie przed zakusami rozwydrzonych wojsaków, że Zosia będzie uchodziła za moją żonę.

Rozpoczęta podróż przeplatana była różnymi zdarzeniami, które pozostały w mojej pamięci.

Szosa, którą jechaliśmy zatłoczona była grupami ludzi - Polaków i innych narodowości, powracających z obozów, pieszo z plecakami, ciągnących wózki, wozami konnymi, a nawet traktorami. Wóz nasz, co pewien czas, zatrzymywany był przez żołnierzy radzieckich - maruderów, którzy rewidowali wieziony ładunek. W ten sposób utraciliśmy nasze zdobycze. Na pierwszy ogień poszły rowery.

W porze obiadowej, gdy ja powoziłem, usłyszałem sygnał trąbki, nieprzerwanie podawany z samochodu jadącego za nami. Znając wady konia pociągowego, starałem się wóz skierować najbliżej prawego brzegu szosy. Nie zdążyłem, ciężarówka „ZiŁ”, prowadzona przez starszyne, z siedzącą obok żołnierką, która bez przerwy trąbiła, oraz trzecim żołnierzem z pepeszą, siedzącym na skrzyni, uderzyła w tył wozu lekko uszkadzając prawy błotnik.

Kierowca wysiadający z szoferki zaczął mnie wyzywać, oskarżając o sabotaż. Na nic zdały się moje usprawiedliwienia. Nakazał mi „wsiadać na maszynę”, grożąc, że zawiezie mnie do Berlina i tam odda pod sąd. Zapowiedział jednocześnie żołnierzowi, że ma do mnie strzelać przy próbie ucieczki.

Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów, kierowca zatrzymał samochód - nad przepływającą rzeczką we wsi - by naprawić usterki w silniku. Zeskoczyłem z samochodu prosząc kierowcę by mnie puścił. Dał się przekonać. Na zgodę zapa-

liliśmy papierosa. Miałem przy sobie niemiecką paczkę tytoniu. Kierowca skrzył sobie papierosa - tytoń w gazetę, ja w bibułkę.

Wracałem tą samą drogą, długo i daleko. Nareszcie, w późnych godzinach popołudniowych, spotkałem jadącego naprzeciw mnie Tadeusza z Zosią.

Dzień się kończył, gdy zajechaliśmy do wsi na nocleg. W dużym gospodarstwie rolnym zatrzymały się również inne grupy osób powracających. Na kolację Tadeusz wydoił luźno chodzące krowy. Mleko z owsianką mieliśmy na kolację.

Wraz z nadchodzącym wieczorem, zauważyliśmy wałęsających się żołnierzy stacjonujących we wsi. Zwracali oni szczególną uwagę na kobiety biwakujące w gospodarstwie. Przeczuwając najgorsze namówiłem Zosię i drugą Polkę, by ukryły się w stodole na szczycie pod słomą i tam spędziły noc. Udało się, noc spędziły bezpiecznie. Wieczorem nastąpiło bowiem prawdziwe polowanie na kobiety.

W odniesieniu do naszych kobiet stwierdziliśmy, że zostały one już wcześniej zabrane przez inną grupę żołnierzy. Odeszli przeklinając. My spędziliśmy noc, czuwając na wozie.

Wczesnym rankiem ujrzeliśmy okropnie wyglądające, oddziały wojska. Ubrane w brudne, długie szynele, w czapkach uszatkach ze szpicami na czubku i długimi bagnetami nałożonymi na karabiny. Oddziały te otoczone były dowódcami, jadącymi na koniach. To prowadzono karne kompanie.

Miejscem naszego postoju i noclegu okazała się wieś Jasienica, sąsiadująca z Policami. Postanowiliśmy Police odwiedzić i zobaczyć jak to miasto wygląda po zajęciu przez żołnierzy frontu wschodniego.

Pomysł nasz okazał się niewypałem.

Dojeżdżając do Polic, mijaliśmy opuszczone domy, z lewej strony nieczynną fabrykę, a z prawej, przed dworcem kolejowym, ruiny piętrowego betonowego bunkra. Przed wyjazdem był jeszcze w całości - stanowiska artyleryjskie zniknęły. Police były miastem pustym – nie zniszczonym działaniami wojennymi - zamieszkałym tylko przez garstkę mieszkańców niemieckich.

Przed budynkiem poczty, naprzeciw baraków byłej policji niemieckiej - zatrzymał nas oficer radziecki i nakazał skrzyć w prawo i stanąć na ulicy przed pierwszym budynkiem.

Młody, przystojny oficer, wyjaśnił nam, że mamy tam czekać aż przybędzie komendant miasta, który zadecyduje o dalszym naszym losie. Zwrócił przy tym uwagę na moją „żonę” Zosię.

Okazał się rozmownym człowiekiem, jawnie okazującym zainteresowanie Zosią - przynosząc jej w darze skórkowe rękawiczki.

W baraku po niemieckiej policji urzędowała komendantura wojskowa, a w niej znajomy już oficer. W czasie rozmowy z nim wyraziłem chęć odwiedzenia, nieopodal znajdującego się - naszego opuszczonego zakładu ogrodniczego. Zgo-

dził się na to, pod warunkiem, że pójdziemy sami, pozostawiając wóz i konie pod opieką Zosi.

Do zwiedzenia ogrodu nie doszło. Mieliśmy z Tadeuszem pecha. W drodze spotkaliśmy starszynę (sierżanta) idącego obok konnego wozu powożonego przez Niemca. Zatrzymał nas. Zabrał nas ze sobą do sąsiedniej wsi, gdzie załadowaliśmy wóz z sianem, którym mieliśmy powrócić do Polic. Nic z tego - musieliśmy się zająć jeszcze bydłem. Było to w dużym gospodarstwie rolnym - folwarku, skąd pobraliśmy siano.

Starszyna postanowił, że musimy wraz z nim i Niemcem - zagonić do obory stado krów nie dojonych i pasących się swobodnie na okolicznych łąkach. Z trudem i po upływie dłuższego czasu udało się to uczynić. Byliśmy pewni, że teraz to już powrócimy do Polic. Nic z tego.

Starszyna postanowił, że do miasta wróci on z Niemcem na wozie z sianem, a ja z Tadeuszem zostanę na wsi, by pilnować gospodarstwa i krów spędzonych do obory. Na potwierdzenie tych słów, wręczył Tadeuszowi „pepeszę”, byśmy mieli czym się bronić, w czasie jakiegoś niebezpieczeństwa.

„O rany Boskie”- zaczęliśmy mu tłumaczyć, że w Policach na rozkaz oficera - zostawiłem „żonę”, która sama została z wozem i końmi, pilnując naszego mienia i że nie da sobie rady bez nas. Starszyna wykazał zrozumienie dla sprawy i postanowił: Tadeusz pozostanie na wsi i z „pepeszą” będzie pilnował gospodarstwa i krów, ja pojedę z nim do Polic, zabiorę ze sobą „żonę” i wozem przyjadę do Tadeusza, by wspólnie z nim spełniać wyznaczony dozór.

Zostawiając Tadeusza we wsi - wróciłem ze starszyną do Polic. Przy wozie nie było nikogo. Zosia zniknęła, a wraz z nią walizka z jej rzeczami. Nagle z baraku komendantury wybiegła Zosia i dobiegając do mnie poinformowała, że młody oficer wziął ją wraz z jej rzeczami do baraku. Tam wraz z innymi ruskimi kobietami dostały zadanie uprzątnięcia pomieszczeń i przygotowanie ich na przyjęcie wojennego komendanta miasta.

Omawiany oficer wrócił po Zosię. Zażądałem od niego, by natychmiast zwrócił mi „żonę” z jej rzeczami, gdyż muszę natychmiast wyjechać z Polic by dołączyć do Tadeusza.

Pod groźbą „ubicia” mnie, oficer zabrał Zosię do baraku, a mnie polecił bym został na miejscu, oraz z opuszczonych pobliskich domów i mieszkań pozbierał pierzyny i dostarczył je do baraku.

Kilka takich pierzyn dostarczyłem.

W trakcie tych czynności spotkałem wysokiego rangą oficera radzieckiego - pochodzenia azjatyckiego, w galowym obszytym złotem mundurze. Stojąc trzy kroki przed nim - obstawa bliżej nie dopuszczała, przedstawiłem swoją sprawę. Wysłuchał - pokiwał głową - powiedział, że „niczego - niczego” i poszedł dalej.

Po nakarmieniu koni, usiadłem na wozie i zacząłem się zastanawiać nad powstałą sytuacją - rozdzielenia całej naszej trójki i przebywania jej w różnych miejscach.

Zbliżał się wieczór, gdy przybiegł do mnie, zmęczony i przestraszony Tadeusz. Wyjaśnił, że podczas jego pilnowania wsi z krowami w oborze - z bronią (pepeszą) na ramieniu - naszedł go patrol wojska radzieckiego.

Wzięli go za partyzanta, tylko dzięki znajomości języka rosyjskiego zdołał się wybronić z kłopotliwej sytuacji. Oddał przy tym posiadaną broń w ręce patrolu.

Stworzyła się nowa, niebezpieczna dla nas sytuacja. W przypadku spotkania się ze starszą wyjdzie na jaw, że nie wykonaliśmy jego rozkazu tracąc przy tym otrzymaną od niego broń. Postanowiliśmy poczekać do rana na decyzję komendanta miasta.

Wieczorem do baraku komendantury, bryczką w towarzystwie innych oficerów, przyjechał oczekiwany komendant. Rozpoczęła się wielka uczta. Słychać było muzykę, śpiewy, tańce i wznoszone toasty.

Była prawie północ, gdy do nas, czuwających przy wozie, przyszedł wojenny komendant miasta. Był to oficer w średnim wieku, ubrany w czarną skórzaną kurtkę z czapką na głowie. Miał sztywną lewą nogę w kolanie.

Prowadziliśmy rozmowę o naszym wyzwoleniu, bohaterskiej armii i wodzu Stalinie.

Na moją prośbę, by mi zwrócono zabraną „żonę” odpowiedział, bym się nie martwił - ona świetnie się bawi i jest pod opieką odpowiedzialnego oficera. W dowód przyjaźni i odniesionego zwycięstwa, pozwolił mi strzelać na wiwat z własnego rewolweru. Wystrzelałem wszystkie naboje.

Fakt ten komendant skomentował słowami:

- Ot, chytra sztuka - wystrzelał wszystko - ale ja mam jeszcze jeden i wyciągnął z kieszeni drugi rewolwer.

Polecił nam spać spokojnie i poczekać do rana na decyzje.

Rankiem, gdy się uspokoiło, poszedłem do baraku szukać „żony”. Zostałem tam istne pobojowisko, ale Zosi nie było. Natomiast przyszedł do nas inny oficer oświadczając, że z rozkazu komendanta mamy natychmiast opuścić Police i jechać do Szczecina.

Opuszczając z Tadeuszem miasto, bez Zosi, zatrzymaliśmy się na chwilę przy zabudowaniach gospodarskich, by ze stodoły pobrać siano i uzupełnić karmę dla koni. Wracając, zastaliśmy przy wozie żołnierza radzieckiego - kierowcę ciężarówki. Na jego „prośbę” (pod groźbą pistoletu) - pracowaliśmy ze dwie godziny, ładując na ciężarówkę złożone na placu skrzynie z amunicją artyleryjską.

Pod Szczecinem, było to w okolicach Goławia, zatrzymaliśmy się w zabudowaniach opuszczonego folwarku. Chcieliśmy sobie przygotować na ognisku i

zjeść obiad, oraz nakarmić konie. W kurniku znalazłem kilkanaście jajek, brakowało tylko chleba.

Na szczęście znaleźliśmy starego Niemca, który się nie ewakuował. Zrobiliśmy z nim „korzystny” dla nas handel. W zamian za bochenek czerstwego chleba, daliśmy mu niepotrzebny nam konia wierzchowego.

Jedząc obiad na skraju szosy - zobaczyliśmy i usłyszeliśmy grającą harmonię, śpiewy i ustrojoną wstążkami konną bryczkę. Na bryczce tej - wśród oficerów radzieckich - znajdowała się moja „żona” Zosia. Była rozbawiona - miała na głowie kolorowy kapelusz z kwiatami. Zauważyła mnie siedzącego na brzegu szosy, zawołała:

- Cześć Janku - powodzenia, do zobaczenia - bywaj! I pojechała dalej.

Naprawdę nie do odgadnięcia jest dusza i postępowanie kobiet...

Przyniosło mi to jednak ulgę - sumienie miałem spokojne. Później dowiedziałem się, że w Szczecinie jakaś Polka wzięła ślub z oficerem radzieckim i że był to pierwszy ślub w tym mieście.

IX. Szczecin

W maju 1945 roku Szczecin był miastem pustym, opuszczonym przez ludność niemiecką. Mieszkały tylko nieliczne, starsze wiekiem osoby, które uniknęły przymusowej ewakuacji.

W mieście nie było światła, nie działały wodociągi. Tylko zainstalowane na ulicach studnie (pompy), umożliwiały zdobycie wody zdatnej do picia.

Zaczęły się powroty z ucieczki Niemców do domu.

W czasie walki o Szczecin - właściwie miasto nie ucierpiało. Do występujących szkód można było zaliczyć zniszczone mosty i wiadukty. Właściwą władzę w mieście sprawowała komendantura wojsk radzieckich.

Wojska te rozpoczęły budowę wielkiego, drewnianego mostu kolejowego, łączącego oba brzegi Odry. Do prac tych wykorzystywali m.in. Polaków próbujących się przeprowadzić na prawy brzeg rzeki, celem dalszej wędrówki na wschód.

W budynkach, na Wąłach Chrobrego organizowały się dopiero polskie władze miasta. Przyjmowano ochotników do milicji i straży pożarnej. Zorganizowano stołówkę i pomieszczenia noclegowe.

By uniknąć zagarnięcia nas przez ruskich - do budowy mostu kolejowego - postanowiliśmy z Tadeuszem zgłosić się w szeregi organizowanej milicji. Zostaliśmy przydzieleni do pomocy dwóm podporucznikom Wojska Polskiego - Henrykowi i Mietkowi wraz z dwoma żołnierzami. Oficerowie mieli za zadanie zorganizować polski komisariat dzielnicowy, przy komendzie ruskiej.

Miało to miejsce w okolicach dzisiejszych ulic: Kaszubskiej, Śniadeckich, Czackiego. Tam znaleźliśmy sobie mieszkanie, lokum na garażowanie wozu i stajnię dla konia. Był także łatwy dostęp do studni z wodą.

Pełniliśmy przeważnie służbę patrolową. Odprowadzaliśmy też grupy niemieckich jeńców do punktów zbiorczych. W czasie pełnienia tych obowiązków i wędrówek po mieście, z opaskami biało-czerwonymi na rękawach, z bronią - zaobserwowaliśmy różne zdarzenia z życia miasta.

W opuszczonym mieście nie było mieszkania, które nie byłoby splądrowane. Znajdujące się w mieszkaniach kasy pancerne rozbijane były granatami. Pojawiły się pożary domów. Płonęły całe kwartały ulic. Z braku wody, pożary nie mogły

być gaszone. Przed płonącymi domami, siedziały na walizkach starsze małżeństwa niemieckie, które płakały rzewnymi łzami.

Z portu i ze stoczni dochodziły odgłosy silnych wybuchów, jakby wysadzanych obiektów.

W mieście pojawiły się ekipy żołnierzy radzieckich, z samochodami ciężarowymi lub wozami konnymi. Ekipy te z biur i mieszkań wnosiły rowery, zegary stojące, maszyny do szycia, maszyny do pisania, pianina i fortepiany, a także radiodbiorniki, dywany i obrazy.

Wynoszone przedmioty, bez żadnej ostrożności i troski, ładowali na posiadane środki transportowe, wywozili na plac zbiorczy. Rzeczy te wywożone były później dalej na wschód.

Zabierane były krowy, które łączono w wielkie stada i pędzili je na wschód pod opieką żołnierzy - pastuchów (podobnie jak kowboje na zachodzie).

Nasz pobyt w Szczecinie trwał tylko kilkanaście dni.

Wystąpiła niepewność co do przynależności Szczecina do Polski. Rosjanie doprowadzili do wycofania polskich władz z miasta. Zostaliśmy wywiezieni ciężarówkami do Stargardu. Wóz z koniem wykorzystali nasi oficerowie, do samodzielnego dotarcia do tego miasta.

Ze Stargardu do Poznania, kursowały już pociągi.

Wykorzystując obecność polskich oficerów, zdobyłem miejsce w pociągu (wagonie bydłowym), którym dojechalismy do Poznania. Tam udało się nam umieścić w osobowym wagonie kolejowym i pociągiem, oblepionym ze wszystkich stron pasażerami, dojechać do Łodzi. Dniem, w którym wysiadłem z Tadeuszem z pociągu na dworcu Łódź-Kaliska, był 25 maja 1945 r. Upiętyło równo 5 lat od mojego wyjazdu z tego samego dworca.

Po powrocie do Łodzi, pozostałem w tym mieście do obecnej chwili. Założyłem rodzinę i rozpocząłem nowe rozdziały mego życia. Tadeusz Władyka powrócił do Szczecina, ożenił się i założył tam nową rodzinę. Po przejęciu enklawy polickiej przez Polaków, przeniósł się do Polic. Był pierwszym ogrodnikiem w tym mieście. Mieszkał i miał swój ogród przy obecnej ulicy Wojska Polskiego. To na jego grobie na cmentarzu w Policach zapaliłem wspomniany już znicz.

Zapaliłem też inny znicz na pierwszym z brzegu opuszczonym grobie, by chociaż w ten sposób uczcić pamięć poległego Alka Sowę.

Zdaję sobie sprawę z tego, że wspomnienia te są tylko częścią występujących zdarzeń. Ale tak naprawdę było. Kończąc wykorzystuję myśli poety: „Nie tęsknię za minionym okresem. Tęsknię za młodością”.

Jan Benedykt Kosiński

X. Retrospekcja

W czasie mego 5-letniego pobytu i zamieszkania w miejscach opisanych poprzednio, obserwując zachodzące w tym okresie zmiany w stosunkach międzyludzkich i stosunku ludzi do władzy, nasunęło mi się skojarzenie, że były one podobne do wielkiego balonu, który miał 3 okresy.

I okres.

Balon napełniał się powietrzem do granic wytrzymałości i unosił się wysoko w górze.

II okres.

Balon zmniejszał się stopniowo, gdyż uchodziło z niego powietrze.

III okres.

Balon całkowicie się opróżnił i opadł na ziemię.

W okresie I trwał rozwój gospodarki, przy jednoczesnych odnoszonych zwycięstwach na frontach wojennych, występowało największe poparcie Niemców do swojego Führera. Stan ten charakteryzują występujące zjawiska:

- życie codzienne w rodzinach niemieckich przebiegało normalnie, bez zakłóceń,
- wystąpił powszechny szal radości z odniesionego zwycięstwa nad Francją i zdobyciem Paryża,
- organizowano wesołe uczyty ze śpiewem i piciem piwa dla kadry obozowej,
- w domach i restauracjach odbywały się spotkania towarzyskie,
- na ulicach miasta słychać było pieśni. Śpiewane głównie przez młodzież, o swoim wodzu i o tym, że po zwycięstwie nad Polską, zwyciężą Anglię, a potem cały świat,
- do Pommernlager przybył transport francuskich i holenderskich jeńców wojennych. Byli oni jednak niedługo, bo po podpisaniu układu z pokonaną Francją, jeńcy zostali odesłani do swego kraju.

W relacji Niemców do polskich robotników przymusowych dało się odczuć, że traktują nas jak niewolników potrzebnych do wykonania zadań związanych z rozwojem gospodarki i ich kultury. Byliśmy jakby pewnego rodzaju zwierzętami do pracy, których trzeba utrzymywać i karmić. Sposób traktowania takich robot-

ników uzależniony był od miejsca pracy i zachowania osób, do których zostali przydzieleni.

Rezultatem takiego nastawienia było znakowanie Polaków literą „P”, a Rosjan znakiem „OST”. Znakiem pogardy dla robotników Polskich, obok różnych zakazów ograniczających swobodę, (karano za ich naruszenie) był wymóg chodzenia po mieście tylko po jezdni i kłaniania się spotykanym Niemcom.

Istniejące warunki wyzwały w nas tęsknotę za wolnością i swobodą działania. Znajdowało to odbicie w naszym zachowaniu. Kopiając latem w fabryce rowy do podziemnego ułożenia kabli elektrycznych, przy siatce głównej ulicy i wejściem do fabryki, zachowywaliśmy się „trochę” dziwnie. Widząc przechodzące kobiety niemieckie, czekające na wyjście mężów lub „narzeczonych”, ubrane w letnie sukienki i spódnice, o długości mini powyżej kolan, wbijaliśmy łopaty w ziemię i tak staliśmy nie mogąc oderwać wzroku od tak pięknego widoku. Pragnienie wolności wyzwał także widok przejeżdżającego pociągu z wagonami, pełnymi pasażerów.

Wśród Niemców znajdowały się osoby o ludzkich odruchach i ludzkim sercu. Mam tu na myśli 2 lekarzy, którzy przyczynili się do mojego odejścia z fabryki i z pracy przy „paku”.

W II okresie - wybuch wojny z Rosją Radziecką spowodował jakby wstrzymanie oddechu u Niemców. Niepokój Niemców budziła obawa przed tak poważnym przeciwnikiem i brak wszelkich wiadomości o postępach wojsk niemieckich.

Dopiero po trzech dniach nadane zostały pierwsze komunikaty o powodzeniu i zwycięskim pochodzie wojsk niemieckich w głąb Rosji i dojściu ich pod Moskwę. Stan ten spowodował, że Niemcy odetchnęli jakby z ulgą. Do obozów w Policach zaczęły nadchodzić transporty radzieckich żołnierzy - jeńców wojennych.

Ulgą ta nie trwała jednak długo. Wojska niemieckie zaczęły ponosić klęski i coraz większe straty.

Były one wynikiem takich zdarzeń jak:

- a) porażka w próbie zdobycia stolicy rosyjskiej - Moskwy,
- b) przegranie lotniczej bitwy o Anglię,
- c) pogrom wojsk w Afryce tzw. Afrika Korps (Deutsches Afrikakorps - DAK)
- d) utrata sojusznika jakim były Włochy,
- e) ciężkie alianckie naloty lotnicze na całym obszarze kraju.

Wprowadzono całkowite zaciemnienie miast, domów i fabryk. Było to bardzo uciążliwe, zwłaszcza jesienią i zimą, przy krótkich dniach. Poruszaniu w ciemnościach pomagało np. w obozach, pohukiwanie głosem, pukanie łyżką o talerz, a także noszenie w klapach znaczka fosforyzującego.

Przystąpiono do intensywnej budowy schronów i bunkrów przeciwlotniczych dla ludności. Występował ogólny strach i obawa przed skutkami nalotów lotniczych. Niemcy mieli ciągle włączone radia, przez które nadawano komunikaty o dokonanych nalotach i ogłaszaniu alarmów lotniczych. Po ogłoszeniu alarmu lotniczego ludność w wielkim popłochu, a nocą wśród ciemności spieszyła do wszelkiego rodzaju schronów lub uciekała poza miasto.

W schronach, w których przebywałem zauważyłem, że strach przed bombardowaniem powodował, że zwłaszcza kobiety głośno się modliły.

Z głośnym protestem z ich strony, połączonym z furją spotkał się, jakoby żart starszego kulawego Niemca, który laską uderzał w sufit bunkra, stwierdzając, że jest on zbudowany z dykty.

Kilka razy w tygodniu, nad stanowiskami artylerii przeciwlotniczej, latał samolot Messerschmitt służący do ćwiczeń obsługi tych dział.

Cywilni Niemcy byli wyznaczeni i mieli obowiązek pełnić kilkudniowe służby przy obsłudze dział obrony przeciwlotniczej. Po nalotach miasto i bombardowany teren pokryty był srebrnymi paskami zrzucanymi przez samoloty, stanowiącymi ochronę przed niemieckim radarem.

W początkowym okresie nalotów [Chodzi o jesień 1944. Pisząc „początkowy” autor ma na myśli naloty na samo miasto, naloty na fabrykę odbywały się znacznie wcześniej - przyp. redakcji], zburzony został w Policach ratusz miejski.

Obyczaje i postawy długo nie ulegały zmianie. W ratuszu, na parterze, mieściły się sala i restauracja, w której odbywały się śluby i wesela młodych par. Jednego razu do lokalu tego zaniósłem bukiet kwiatów zamówionych przez pana młodego dla panny młodej. Odbierający kwiaty pan młody chciał mnie poczęstować „drinkiem”. Drinka nie dostałem, gdyż zaprotestowali inni Niemcy, którzy zauważyli, że jestem Polakiem z literą „P”.

Mimo otrzymywanych ciosów i nieuniknionego zbliżania się areny działań wojennych na ich tereny, Niemcy starali się utrzymywać i toczyć codzienne życie w miarę normalnie.

Ciągle czynne były urzędy, szkoły, sklepy, kina restauracje. Organizowano na stadionie mecze piłkarskie. Okrzyki kibiców piłkarskich ze stadionu słyszane były w ogrodzie.

Zniknęły natomiast targowiska miejskie i wystroje witryn sklepowych. Handel przeniósł się do lokali, gdzie sprzedaż większości artykułów i towarów dokonywana była na różne kartki i talony.

Bez wystrojów miasto i ulice stały się szare, bez oświetlanych witryn. Użycie hitlerowskich flag, sztandarów i uroczystych odpraw miało miejsce w przypadku organizowanych pogrzebów dla poległych Niemców w czasie nalotów. W przypadku świąt państwowych zdobienie budynków obejmowało budynki rządowe.

W podtrzymywaniu Niemców na duchu i dużą nadzieję na poprawę ich losu dawała propaganda z Goebbelsem na czele. Niemcy wierzyli w jego propagandę o cudownej broni, która zostanie wkrótce zastosowana.

W zaopatrzeniu ludności w potrzebne artykuły i towary zaczęły występować trudności. Nastąpiło zmniejszenie dostaw warzyw i owoców południowych. Władze nakazały ogrodnikom zwiększenie areалу na produkcję warzyw, kosztem ograniczenia produkcji kwiatów.

Ograniczone dostawy warzyw doprowadziły do tego, że kupujący na kartki kartofle prosili mnie o zważenie większej ilości niż określał przydział.

Opał na zimę, głównie brykiety do ogrzewania mieszkań, Niemcy zaczęli przewozić ze składu, obok dworca kolejowego, do domów na wózkach ciągnionych ręcznie.

W szkole zorganizowano zbiórkę wykorzystanych doniczek do kwiatów, które załadowane na wózek przywieźliśmy do ogrodu.

Wiosną 1943 i 1944 roku Niemców chętnych do nabycia sadzonek pomidorów, sprzedawanych prosto z ogrodu, było tak dużo, że szefowa poprosiła policjanta o regulowanie ruchem.

Radykalnie zmienił się stosunek zwykłych Niemców do robotników przymusowych. Niemcy poczęli im pomagać w różny sposób. Zaczęli ich zatrudniać do prac w ogrodach i sadach przydomowych, płacąc im za wykonaną pracę artykułami żywnościowymi.

Na drogach dochodzących do obozów pokazywali się Niemcy, którzy oferowali do sprzedaży chleb ukryty za pazuchą. Niemki kupowały od radzieckich jeńców i robotników - wytwarzane przez nich wyroby ze słomy (koszyki i kosze).

Więźniom zatrudnionym w ogrodzie, w tym Niemkom - przierzucali w ukryciu przez siatkę kanapki z chlebem.

Podczas mojej podróży koleją ze Szczecina do Nowogardu stałem na platformie z tyłu, przed wejściem do wagonu, z bukietem róż w ręku. Miło mi było, gdy jadące w wagonie Niemki, z uśmiechem na ustach, pytały czy ten bukiet kwiatów to dla narzeczonej i zapraszały do zajęcia wolnego miejsca w wagonie.

Nadal jednak zdarzały się przypadki złego traktowania robotników przymusowych. Znajomy Polak, nazywany Bronkiem, zatrudniony był u bauera, który obok rolnictwa prowadził konny wywóz nieczystości z szamb mieszkańców domów. Za prace te, obok obsługi koni i pracę na roli, wykonywaną od świtu do zmierzchu, Broniek otrzymywał marną płacę i wyżywienie, oraz spanie w stajni. Nie mogąc znieść tych warunków i złego traktowania, uciekł od bauera w głąb Niemiec, gdzie znalazł inną pracę.

W ramach sąsiedzkiej współpracy między Niemcami szefowa ze mną i Adolfem brała udział w pracach u bauera przy młóceniu zbóż. Po całodziennej pracy dostaliśmy od gospodarza nagrodę - po butelce piwa. Taką samą nagrodę otrzymałem, gdy ze sklepu w ogrodzie zaniósłem na plecach, klientce do domu 50-kilogramowy worek ziemniaków. Innym razem, od szefowej w nagrodę za swą pracę otrzymałem na urodziny 10 marek i dzień wolny od pracy.

Okres III to czas, w którym Niemcy ponosili największe porażki i straty. Wywołane one były klęską wojsk pod Stalingradem i ofensywą wojsk radzieckich, które dotarły do Wisły, a następnie w 1944 roku do Odry. Sukcesy aliantów na froncie zachodnim i katastrofalne skutki nalotów bombowych, obejmujących już cały kraj - wstrząsnęły Niemcami.

Ustąpiło zaufanie do władz, a Niemcy coraz częściej wyrażali swą opinię, że Hitler „kaput”. Następowala ewakuacja dzieci i młodzieży ze szkół na tereny uznane za „bezpieczne” od nalotów bombowych. Wszyscy, zdolni w jakikolwiek sposób do służby, Niemcy byli powoływani do wojska.

Specjalnie wysłani Niemcy poszukiwali wśród Polaków osób z jakimkolwiek rodowodem niemieckim, by wcielić ich do wojska. Do ogrodu przybyło trzech „panów“, którzy bardzo długo wypytywali mnie o pochodzenie i namawiali, by wstąpić w szeregi ich niezwyciężonej armii. Po tej rozmowie stwierdzili, że jestem „matołem” i do wojska się nie nadaję.

Szefowa gratulowała mi sposobu jakiego użyłem w rozmowie, której była świadkiem.

Dał się odczuć brak mężczyzn niemieckich. Zniknęło zjawisko witania przez kobiety na dworcu kolejowym i przed bramą fabryki powracających mężczyzn z podróży czy z pracy. Wiele kobiet mieszkało samotnie. Podobnie jak żona Żyda, który zginął w obozie.

Towarzyszką tej kobiety była papuga mówiąca po niemiecku. W czasie nieobecności swej pani na głos krzyczała „Helga chodź tutaj“ (Helga komm hier).

Osobliwy widok sprawiały, w czasie alarmu lotniczego, otwarte wrota garaży: straży pożarnej i policji z przygotowanymi do wyjazdu samochodami lub motocyklami z obsługą młodzieżową w mundurach Hitlerjugend. Natomiast w ogrodzie, na siatce ogrodzenia, znajdowałem przewieszane noże (bagnety) tej młodzieżowej organizacji. Dawało nam to dużo do myślenia.

Władze miasta nadal potrafiły utrzymywać porządek i hamować negatywne nastroje. Sprawnie działała propaganda Goebbelsa.

Wielki rozgłos nadano wiadomości ogłoszonej w radio i prasie, o wymordowaniu w Katyniu oficerów polskich przez rosyjskich komunistów. Niemcy informowali o tym nas, Polaków, w bezpośrednich rozmowach, czego przedtem nie

czynili. Wiadomym nam czynili również, że Polacy mają dwa rządy. Komitet Lubelski, a drugi na Zachodzie, które nie mogą dojść do porozumienia.

Wielką sprawę propaganda niemiecka uczyniła z wypadku lotniczego, w którym zginął generał Sikorski.

Wiele uwagi propaganda poświęciła zwycięstwu i pokonaniu Polaków podczas powstania warszawskiego. Podawano Niemcom do wiadomości, że Warszawa nie żyje.

Inne odczucia mieli jednak zwykli Niemcy. Mogę to potwierdzić następującymi faktami. Miałem okazję oglądania w kinie seansu filmowego wraz z kroniką.

Do kina chodziłem po znajomości (właścicielka kina była stałą klientką sklepu owocowo-warzywnego), wpuszczany byłem na przygotowane na balkonie miejsce po rozpoczętym seansie.

W kronice filmowej wyświetlany był film o kapitulacji powstania warszawskiego i zdawaniu broni przez powstańców. Zawsze w takich momentach, mających świadczyć o zwycięstwie i bohaterstwie żołnierza niemieckiego, widzowie nagradzali film oklaskami. Tutaj jednak objawów tych nie było, tylko zaległa głucha cisza.

Wyrazy smutku i żalu wyrażali zwykli Niemcy - czytając w prasie zamieszczone całe szpalty nekrologów poległych żołnierzy na froncie wschodnim - za naród i wodza.

Po dotarciu wojsk sowieckich do prawego brzegu Odry, władze wojskowe zarządziły i utworzyły posterunki wojskowe, które strzegły wyznaczonych obiektów „strategicznych” w dzień i w nocy.

Takim posterunkiem był np. mostek betonowy, zbudowany nad kanałem wodnym, prowadzącym do fabryki, a drogą przebiegającą do Jasienicy. Po upływie wielu lat ustalono, że mostek ten był zaminowany.

W trzeciej dekadzie marca 1945 roku Niemcy mieszkańcy, miasta i wsi, otrzymali od swoich władz rozkaz ewakuacji. Opuszczone miasto zajęte zostało przez wojska sowieckie.

Na zakończenie przedstawionych wspomnień podaję informacje jakie posiadam na temat dalszych losów rodziny moich szefów w zakładzie ogrodniczym w Policach.

Po przymusowej ewakuacji, żona szefa wraz z siostrą powróciły do Polic, ale nie do ogrodu, tylko zamieszkały na tej samej ulicy, w domu mistrza kominiarskiego. Za pośrednictwem znanego mi Polaka, który dostał się do Enklawy Polickiej, zajmowanej przez Sowietów i po tym, jak spotkał się z tymi kobietami, otrzymałem od nich list, napisany do mnie w czerwcu 1945 roku. W liście tym (który mi zaginął), panie te zwracają się do mnie „Lieber Johann“ (kochany Ja-

nie), przesłały pozdrowienia stwierdzając przy tym, że może jestem sprawnym żołnierzem (Stark Soldat)? Podawały, że mieszkają w Policach i zamierzają sobie urządzić na nowo życie.

Z innych źródeł dowiedziałem się, że po przekazaniu Enklawy Polickiej Polakom Niemcy zostali wysiedleni na zachód. Szefowa, wraz z siostrą, dotarła do Niemiec Zachodnich, gdzie spotkała się z mężem i córką. Ich syn, służący w wojsku, jak wielu młodych wojskowych, podobno zastrzelił się. Córka wyszła za mąż za kierowcę samochodowego (tiry), jeżdżącego po całej Europie.

Tyle z zapamiętanych spostrzeżeń i zdarzeń przedstawiam w głównych zarysach w niniejszych wspomnieniach.

XI. Rozmowy z Panem Janem

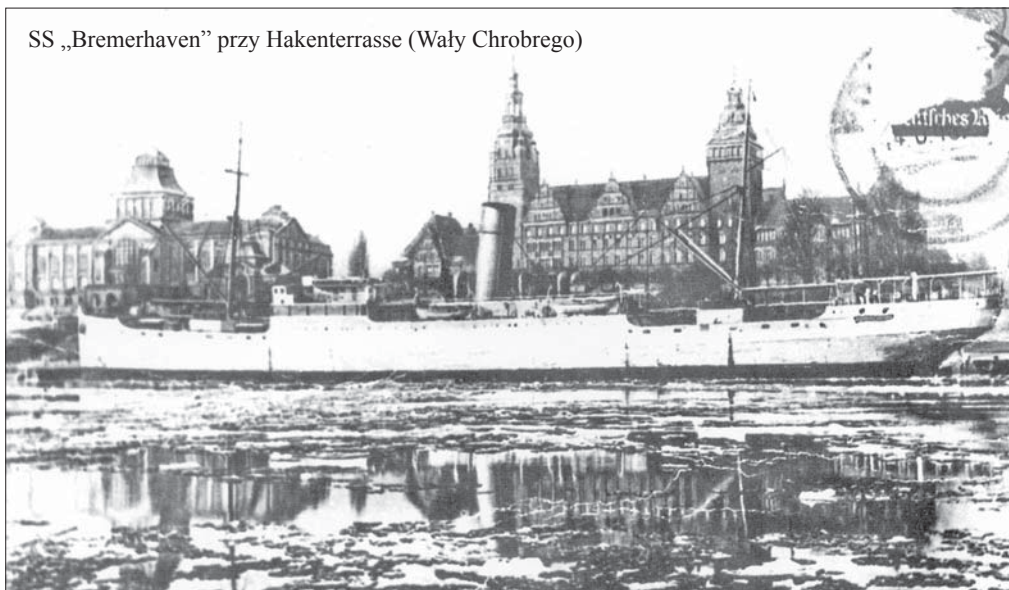
W rozdziale tym zamieściliśmy odpowiedzi Autora na szczegółowe pytania dotyczące tematów będących zagadką dla lokalnych historyków i miłośników dziejów wojennych Polic. Wyjaśniło się kilka interesujących „znaków zapytania”. Na tej i następnych stronach przytoczyliśmy kilka pytań i odpowiedzi uzyskanych drogą korespondencyjną. Pogrupowaliśmy je w działy:

- Obozy (dla pracowników przymusowych i inne)
- Hydrierwerke
- Schrony
- Ogród
- Cmentarz
- Ludzie, których zapamiętałem
- 70 lat później...

Autor zastrzegł, że „udzielając odpowiedzi, zmuszony jestem wziąć pod uwagę fakty, które mają wpływ na to, że moje wiadomości mogą być niepełne i wymagające uzupełnień. Są to m.in.:

- patrzeć na świat oczami młodzieńca mającego 17- 22 lata,
- ograniczony zakres i możliwości zdobywania informacji na skutek obowiązujących przepisów i nakazów,
- przywiązanie do miejsca zamieszkania bez możliwości poruszania się poza tym terenem,
- obowiązująca godzina policyjna i wielogodzinna praca.”

SS „Bremerhaven” przy Hakenterrasse (Wały Chrobrego)



OBOZY PRACY - SS „BREMERHAVEN”

Redakcja: - *Panie Janie! Jest Pan pierwszym świadkiem tamtych czasów, który podał nieznaną wcześniej informację o przekotwiczeniu SS „Bremerhaven”. Również szczegóły egzystencji na statku nabierają innego, rzec można: bardziej logicznego kolorytu. Co jeszcze można powiedzieć o tym obozie? Dlaczego się Pan w nim znalazł?*

Jan Benedykt Koziński: - Powodem przeniesienia mnie w czerwcu 1941 roku (kiedy jeszcze pracowałem w fabryce), wraz z wielu innymi mieszkańcami, z obozu pracy Pommernlager do obozu pracy na statek „Bremerhaven”, była potrzeba znalezienia w Pommernlager potrzebnego miejsca na zakwaterowanie robotników innej narodowości, z terenów podbitych przez Niemców. Do nich należeli jeńcy i robotnicy rosyjscy, ukraińscy, włoscy, francuscy itd.

Zarówno w Pommernlager, jak i na „Bremerhaven” byli także zakwaterowani, wraz z wyżywieniem inni przymusowi robotnicy zatrudnieni nie tylko w fabryce, ale i w innych miejscach pracy na terenie miasta Pölitz. Do takich pracowników należeliśmy my, ogrodnicy, furmani w zakładach transportu konnego, pracownicy w zakładzie oczyszczania miasta (wywóz śmieci) i fryzjerzy.

Statek do października 1942 roku przycumowany był przy tzw. Lejku. Miejszem jego postoju był pomost metalowy na betonowych podstawach. Na pokład statku wchodziło się po trapie z lewej strony burty. Rufa statku zwrócona była do lądu. Od „Lejka” do fabryki prowadziła droga żuźlowa do miasta (dzisiejsza ul. Goleńniewska), przez rynek do ulicy Tanowskiej, dalej prosto do głównego wejścia w



Fragment planu współczesnych Polic z zaznaczonymi drogami wiodącymi na statek. Litera „A”, z lewej strony na dole, wskazuje rynek. Cyfra „1” z prawej strony na dole to obecny terminal kwasu siarkowego i amoniaku, zbudowany na fundamentach dawnego „Lejka”. Tu pierwotnie zakotwiczony był SS „Bremerhaven”. Cyfra „2” (z prawej strony, na środku): mniej więcej w to miejsce, niedaleko od obecnego portu, przekotwiczono statek w październiku 1942 r. Autor wspomina, że od drogi na statek prowadził drewniany pomost ułożony na łodziach. Drogi istnieją do dziś. Z lewej strony planu, na górze - strzałka w czarnym obramowaniu. Skręt za kanałem z ul. Jasienińskiej - droga do współczesnego portu. Tą drogą (skracając w prawo, czyli na południowy wschód) dochodziło się do statku.

okolicy obecnej szkoły [Gimnazjum nr 1 - przyp. redakcji]. W odwrotnym kierunku droga prowadziła z fabryki na statek. Ta sama droga prowadziła ze statku do pracy w ogrodzie.

Na nowym miejscu statek „Bremerhaven” został zakotwiczony na Odrze, mniej więcej w połowie odległości od „Lejka” do obecnego portu, wybudowanego dla potrzeb obecnych Zakładów Chemicznych. Zakotwiczenie statku wymagało odpowiedniej głębokości rzeki, by statek mógł być dostępny przez keję umożliwiającą wejście na pokład.

Do miejsca przekotwiczania „Bremerhaven” (październik 1942 roku) prowadziła następująca droga. Od rynku w Policach szło się szosą prowadzącą w stronę Jasienicy, mijało się ostatnie zabudowanie, po prawej stronie szosy rozpoczynały się pola uprawne i łąki. Po przejściu około 0,5 km szosę przecinał kanał wodny wybudowany i prowadzący wodę z Odry do fabryki. Nad kanałem tym wybudowany był mostek betonowy. Przed mostkiem, z lewej strony, po zejściu z szosy prowadziła droga do bramy obozu Pommernlager.

By dojść do obozu „Bremerhaven” trzeba było za mostkiem skręcić w prawo i zejść z szosy na polną drogę prowadzącą na statek. Czas dojścia z rynku w Policach na statek wynosił ca 60 minut. Statek „Bremerhaven” zakotwiczony był przy drewnianym pomoście ułożonym na łodziach. Używam słowa „zakotwiczenie” gdyż nie mógł być „zacumowany”, bo nie było do czego. Statek stał kilkanaście

Obozy pracy - „Bremerhaven”

metrów od brzegu, na którym nie było betonowych pachółków (polerów) służących do zacumowania (zamocowania) lin.

Teren zakotwiczenia statku na lądzie ogrodzony był siatką drucianą, z bramą wejściową, z drewnianym barakiem i pełniącym w nim służbę strażnikiem.

O karnym pokładzie na statku moja wiedza jest taka, że:

- pierwszymi mieszkańcami na statku byli Polacy pochodzący z Bydgoszczy i okolic - pojmani i przywiezieni za karę - po tak zwanej „krwawej niedzieli”,

- w czasie pracy w fabryce - widziałem robotników z literą „P” na piersiach i żółtymi lampasami na spodniach, którzy byli nadzorowani przez wachmanów.

Mówiono o nich, że to są więźniowie ze statku. Rozchodziły się wieści o tym, że na statku „Bremerhaven” wieszano więźniów.

Podobno więźniów tych przeniesiono ze statku do innych obozów na lądzie. Stworzono w ten sposób miejsca dla obozowiczów przeniesionych z obozu Pommernlager.

Po zamieszkaniu w obozie na statku (po czerwcu 1941 roku) nie spotkałem tego rodzaju więźniów, o których jest relacja H. Mąki w jego książce. Muszę tutaj nadmienić, że mieszkałem na rufie statku. Dostęp na pokład i pomieszczeń na dziobie statku był bardzo utrudniony i możliwy wyłącznie dla komendanta oraz obsługi niemieckiej mieszkającej na statku.

Poniżej - dowód osobisty Polaka, pracownika Hydrierwerke, mieszkającego na statku

Hydrierwerke Pölit
Aktiengesellschaft

№ 004663

Ausweis für Polen

Der *Leo Alexander*, geb. am *10. 8. 21.*
wohnt im *Schiff* - Lager der Hydrierwerke Pölit
Aktiengesellschaft Haus Nr. *11* Stube Nr. *3*

Stettin-Pölit, den *14. 12. 1940*

Hydrierwerke Pölit Aktiengesellschaft
Wohnschiff *Schiff* Lagerführer

9 085 465/9901/0106



Panorama Pölitz, zdjęcie lotnicze. Na samej górze - linia torów, budynek dawnego dworca, a jeszcze wyżej - nowe osiedla i puste miejsce. Tu, wg świadectwa Autora, był usytuowany Wullenweverlager.

WULLENWEVERLAGER I INNE

Redakcja: - Oprócz miejsc zakwaterowania dla pracowników przymusowych istniały również obozy - prawdopodobnie o znacznie wyższym standardzie - dla pracowników kontraktowych, głównie z krajów zachodnich. Jednym z najbardziej znanych był „Wullenweverlager”, usytuowany w dawnej obozie RAD (Reichsarbeitsdienst), gdzieś w rejonie dworca kolejowego. Wiadomo też, że spłonął, a jego mieszkańców ulokowano w nowej siedzibie, gdzieś „przy drodze do Siedlic”. Czy wie Pan coś na ten temat?

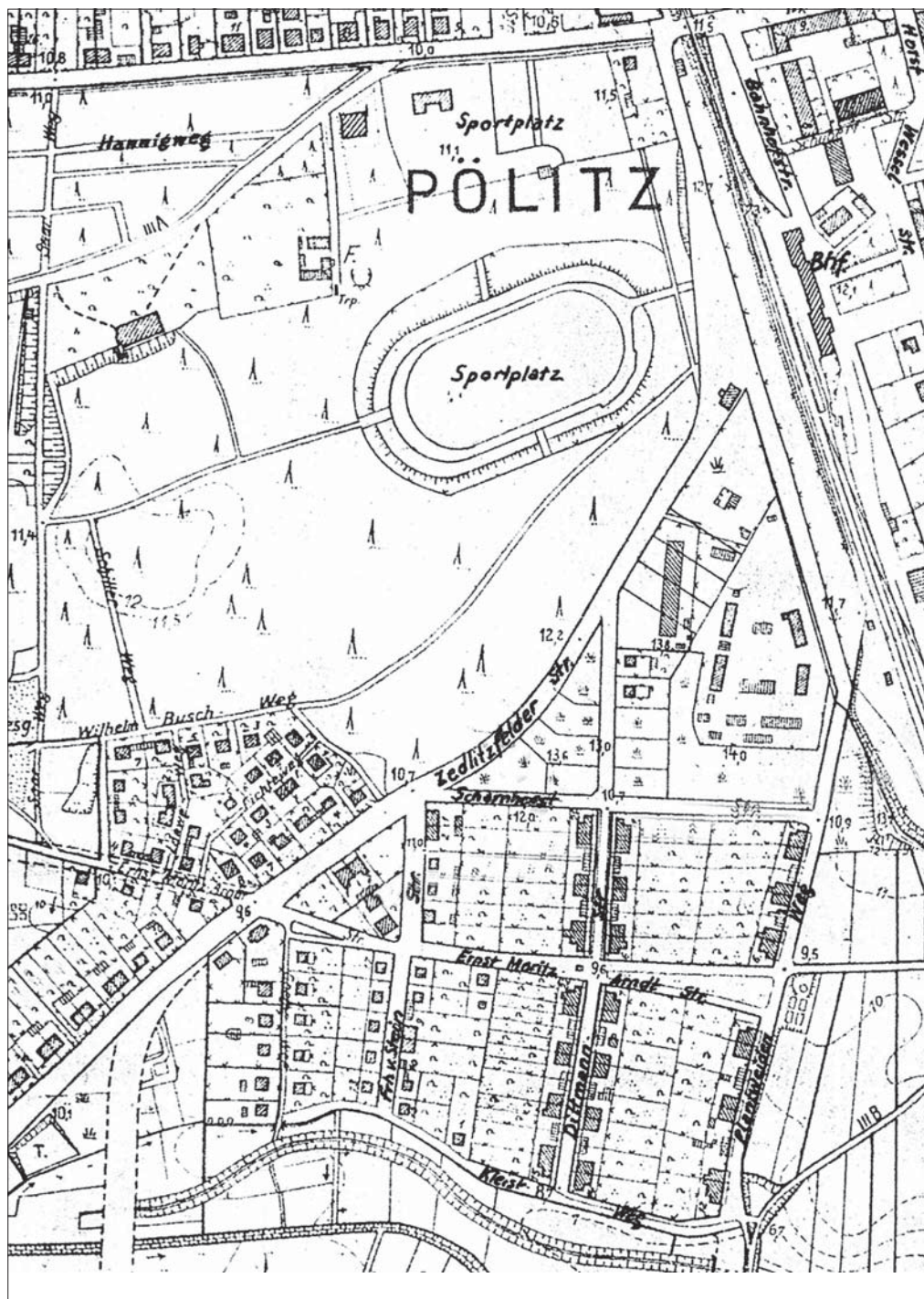
Jan Benedykt Koziński: - Obóz taki faktycznie istniał w okolicach stadionu sportowego, w 1943 roku wybuchł w obozie pożar, który zniszczył go całkowicie. Spalony obóz znajdował się za dworcem kolejowym po prawej stronie ulicy, na zapleczu boiska sportowego, przy drodze prowadzącej do budowanego osiedla mieszkaniowego.

Potwierdzam ten fakt, gdyż osobiście widziałem ruiny i zgłiszczą pozostałe po pożarze.



Lager „Jürgen Wullenwever“, Stettin-Pölitz

Obozy pracy - Wullenweverlager



Fragment planu Pölitz, aktualizacja z roku 1943. Na górze, z prawej strony - budynek dworca. Naprzeciw istniejący do dziś stadion. Z lewej strony, za stadionem zalesiona przestrzeń, przy drodze wiodącej do nowych osiedli. Tu był usytuowany pierwszy Wullenweverlager.

Czy obóz odbudowano? Nie wiem. Wybudowanie nowego obozu w okolicach Siedlic może być problematyczne, z uwagi na zbyt dużą odległość od miejsca zamieszkania jeńców do miejsca pracy.

Dodatkowo, osobiście potwierdzam dane o innych obozach w Policach:

a) Po opuszczeniu statku „Bremerhaven” na koniec września 1943 roku, robotników polskich - w tym mnie i Tadeusza - Niemcy zapędzili do obozu mieszczącego się w Policach w lewo od dworca kolejowego, ale przed torami kolejowymi - do kilometra od dworca. Obóz ten to drewniane baraki. Stajnie końskie, bez żadnego umeblowania. Do spania rozłożona była, po obu stronach pomieszczenia, słoma na podłodze. Spano pokotem.

Po spędzeniu w tym obozie jednej nocy - przeniosłem się wraz z Tadeuszem do ogrodu i tam zamieszkaliśmy. Szczegółowej lokalizacji tego obozu nie jestem w stanie określić. Co się stało z tym obozem, nie wiem. Wiem tylko, że robotnicy polscy z tego obozu przeniesieni zostali do innego obozu w fabryce „BAU 1”.

b) Obóz pracy „Hydrierverke Pölitz Bau Eins”, (którego nazwa pochodziła od numeru pierwszego budynku w fabryce) mieścił się przy głównym wejściu do fabryki. Obecnie budynek ten zajęty jest przez szkołę. Obóz ten przeznaczono w większości dla Polaków. Powstanie tego obozu wiązano z faktem zmiany miejsca zamieszkania z innych obozów, jak Pommernlager czy Tobruk Lager.

Budynek Bau Eins, poprzednio zajmowany był przez inne agendy: magazyny, warsztaty remontowe, a nawet sklepy z obuwiami i odzieżą roboczą sprzedawaną na kartki.

Pomieszczenie mieszkalne, to jedna wspólna wielka sala pełna piętrowych prycz, szafek, stołków. W obozie tym odwiedzałem kolegów (m.in. Alka), graliśmy w karty lub słuchaliśmy muzyki. Mieszkańcy tego obozu zostali w końcu marca 1945 r. ewakuowani do Ueckermünde.

c) Był jeszcze jeden obóz żeński - głównie Ukrainki - który został utworzony, chyba w 1944 roku, w piętrowym murowanym bloku mieszkalnym. Był to normalny blok z wieloma mieszkaniami - zajmowany przez grupy kobiet. Blok ten został wybudowany na nowym osiedlu mieszkaniowym za dworcem kolejowym i boiskiem sportowym.

Do obozu tego chodziliśmy z kolegami na spotkania towarzyskie z dziewczynami - różne zabawy. Był to okres, gdy na prawym brzegu Odry byli już Rosjanie. Tak było do czasu ewakuacji. Nie jestem w stanie powiedzieć, co się stało z tym obozem i jego mieszkańcami.

Chodziły pogłoski, że na tym nowym osiedlu były także inne bloki mieszkalne, w których zamieszkiwali robotnicy z krajów zachodnich, a także Czesi i Słowacy. Czy to prawda - nie wiem, nie miałem możliwości, by pogłoski te potwierdzić.



OBÓZ KONCENTRACYJNY - MESSENTHIN

Redakcja: - *O realiach obozowych KZ Außenlager Stettin - Pölitz w Mścicienie wiemy bardzo wiele. Swoistą zagadką jest odpowiedź na pytanie o przyczynę usytuowania w tym miejscu stałego obozu i to w końcowej fazie II wojny. W oficjalnych kartotekach niemieckich jest informacja, że więźniowie zajmowali się głównie pracami ziemnymi. W niepotwierdzonych, powojennych doniesieniach pojawia się wiadomość o budowaniu (podobno w stoku wzgórza) zbiorników na benzynę. Czy posiada Pan jakąkolwiek wiedzę dotyczącą tego zagadnienia?*

Jan Benedykt Koziński: - Obóz koncentracyjny, uruchomiony w październiku 1944 roku w lesie mścicińskim, był powszechnie znany. Co do pytania: czy w pobliżu tego miejsca Niemcy budowali zbiorniki na benzynę? Naocznym świadkiem oczywiście nie byłem, ale doskonale pamiętam różne pogłoski, że w Messenthin miały być jakieś tajne podziemne pomieszczenia produkcyjno-magazynowe.

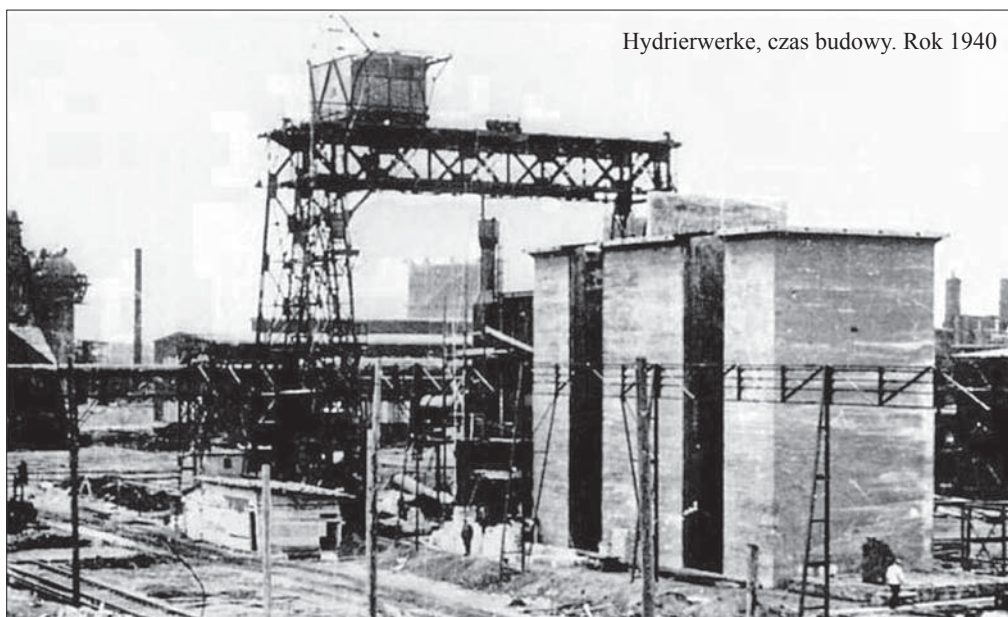
Na temat tych budowli chodziły szeroko plotki, że zbiorniki te są znacznie większe od tych budowanych w fabryce. Niemcy wiązali to z faktem, że w czasie nalotów na Police samoloty zrzucały olbrzymie bomby mogące zniszczyć ukryte pod ziemią żelbetowe budowle. Zbiorniki te mogły być budowane w tajemnicy przez więźniów obozu koncentracyjnego.

Obóz ten był tak liczny, że pozwolił Niemcom tylko część więźniów zatrudnić w fabryce benzyny, a pozostałych wykorzystywać na miejscu, przy budowie zbiorników. Takie były pogłoski. Jednak nikt nie wskazał na nic konkretnego.

Istnienie takich zbiorników można potwierdzić przez pewne skojarzenia z danymi, które sam zaobserwowałem. Zdarzenia te wiązały się z nalotami samolotów na fabrykę.

Po ogłoszeniu alarmów lotniczych, ludność chowała się do schronów lub uciekała do lasu, albo w dalsze okolice oddalone od fabryki. Niemcy - robotnikom zatrudnionym w fabryce, bez względu na narodowość, udostępniali wszystkie samochody ciężarowe, będące na terenie do wywożenia ludzi jak najdalej od fabryki.

Dziwny w tym wszystkim był fakt, że zarówno cywilni mieszkańcy spoza fabryki, jak i uciekający z fabryki robotnicy, unikali okolic Mścięcina i udawali się w inne kierunki - w stronę Trzebieży, Trzeszczyzna, Tanowa lub Odry. Przecież okolice Mścięcina i otaczające je lasy stanowiły idealną kryjówkę przed nalotami.



HYDRIERWERKE - BAU EIN(S) I DROBIAZGI

Redakcja: - W swoich wspomnieniach wspomina Pan o obozie mieszczącym się w budynku uważanym zawsze za siedzibę administracji fabryki. Używa Pan również określenia „Bau ein”, „Bau zwei”. Czego dotyczyły te nazwy. Bo sam budynek administracji był - w trakcie budowy fabryki - nazywany „Bau Eins”, czyli „jedyńka”. Przy okazji pytanie dodatkowe: gdzie było główne wejście do fabryki?

Jan Benedykt Kosiński: - Odnośnie spraw związanych z tematem Bau 1, to dla uwzględnienia i zrewidowania dotychczasowego mniemania, mogę podać, może niedoskonałe, ale mogące się przydać, następujące informacje.

W okresie mej pracy w fabryce, trwającej od maja 1940 roku do września 1941 roku fabryka była w ciągłej i rozwijającej się budowie, zarówno urządzeń jak i budynków. W okresie tym do fabryki prowadziły dwa główne wejścia, posiadające tzw. portiernię.

Pierwsze, od północy, w połowie drogi prowadzącej od obozu Pommernlager w stronę obecnej ulicy Tanowskiej. Wejście to służyło przeważnie dla robotników mieszkających w tym obozie.

Drugie, na ulicy Tanowskiej, mniej więcej naprzeciw wejścia na cmentarz. Wejście to utkwiło mi w pamięci dlatego, że przy ogrodzeniu siatkowym przy tej ulicy i w pobliżu portierni zatrudniony byłem przy kopaniu rowów dla ułożenia kabli. Przy tym wejściu gromadziły się kobiety, które przychodziły nawet z

dziećmi w wózkach, czekające na swoich mężów czy znajomych wychodzących z pracy.

Z prawej strony wejścia z ul. Tanowskiej mieścił się murowany budynek biurowy. Obecnie budynek szkoły. Obok tego biurowca znajdowały się różne inne budynki zajmowane przez:

- umundurowaną straż fabryczną (Wache),
- biura „Gestapo” gdzie byłem przesłuchiwany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii,
- stołówka, w której można było wykupić i zjeść obiad, nie posiadając kartek. Przeznaczona była dla Niemców i robotników uprzywilejowanych. Polacy, którzy próbowali korzystać z tej stołówki, po schwytaniu byli surowo karani, nawet pobyt w obozie karnym,
- ośrodek zdrowia, gdzie byłem badany ze względu na chorobę oczu, związaną z pracą przy „paku”.

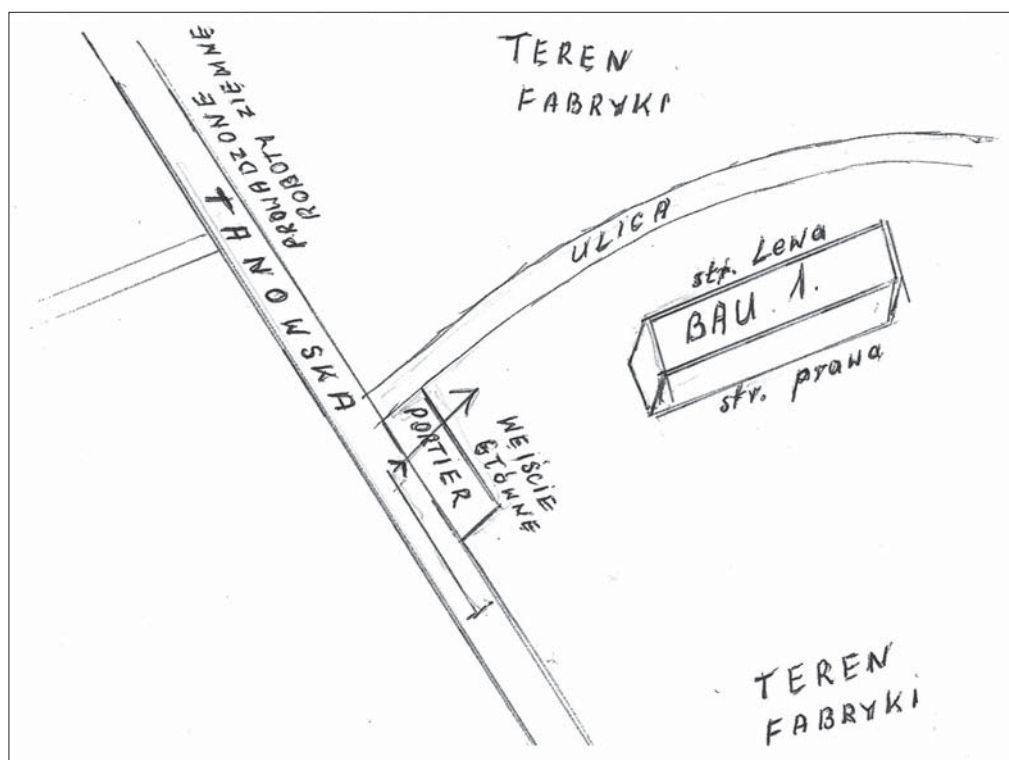
Ścisłego określenia miejsca i położenia tych budynków nie jestem już w stanie określić. Obecny brak tych budynków i upływ czasu robi jednak swoje.

Murowany budynek Bau 1 postawiony został w kilkudziesięciometrowej odległości i ścianą szczytową do ulicy Tanowskiej, a frontem do drogi fabrycznej - prostopadłej do ulicy Tanowskiej.

Przy takim położeniu budynku można przyjąć, że patrząc od ulicy Tanowskiej, idąc od miasta, strona tylna budynku była stroną prawą, a strona frontowa lewą.

Poniżej - rok 1939, wiosna. Pracownicy firm budujących Hydrierwerke wychodzą z pracy.





Budynek portierni będący jednocześnie wyjściem i wejściem do fabryki, ulokowany był przy ul. Tanowskiej - z odchyleniem na lewą stronę, naprzeciwko ściany szczytowej oddalonego budynku Bau 1. Przedstawiłem to wyżej, na odrębnym szkicu.

Takie położenie budynku Bau 1 i portierni, powodowało, że pracujący po lewej stronie, w oddaleniu robotnicy, kopiący rowy kablowe, patrząc na wchodzących i wychodzących z fabryki odnosili wrażenie, że odbywa się to zarówno wprost, jak i z prawej i lewej strony budynku.

Zamienienie biurowca na obóz Bau 1 nastąpiło z konieczności i dopiero w początkowym okresie 1943 roku. Taka konieczność wyniknęła z tego, że zaszła potrzeba zapewnienia miejsc zamieszkania robotnikom polskim, którzy stracili je w wyniku zbombardowania części obozu „Pommernlager” i likwidacji statku „Bremerhaven”. Ci pracownicy ulokowani zostali w obozie Bau 1 i stanowili jego główny trzon.

Obóz „Pommernlager” - w części nie zniszczonej przez naloty nadal zamieszkiwali Polacy. Zarówno obóz „Pommernlager” jak i „Bau 1” były czynne do końca, tj. do ewakuacji w marcu 1945 roku.

W uzupełnieniu do podanych już wiadomości dotyczących lagru pod nazwą „Bau ein” - Bau 1 - był i jest budynkiem dwupiętrowym. Drugie piętro, podobnie jak pierwsze, było zasiedlone przez Polaków. W swojej poprzedniej wypowiedzi

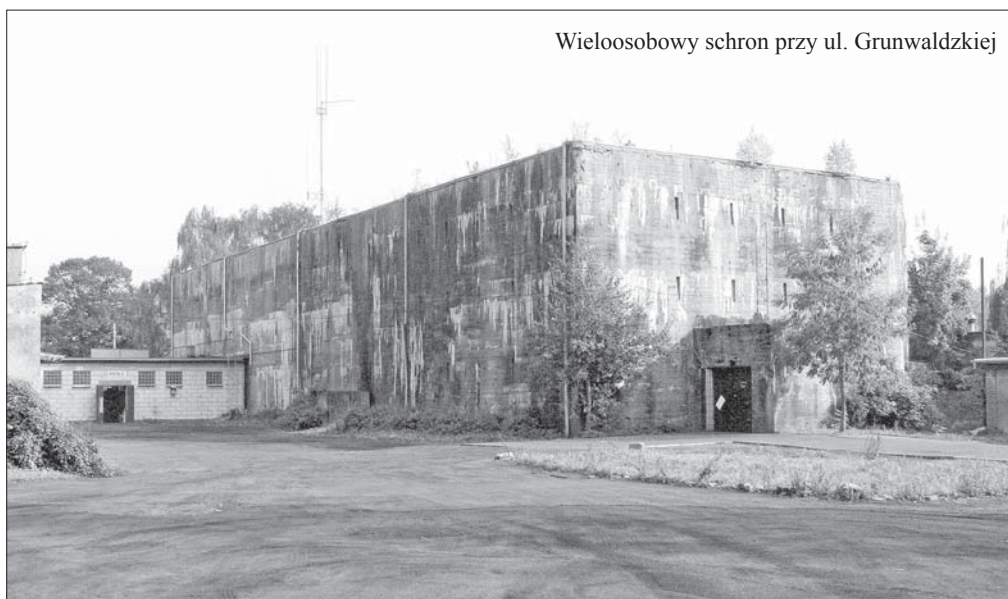
użyłem sformułowania „budynek piętrowy”, bo odwiedzałem kolegów mieszkających na tym piętrze.

Pragnę przy tym powiedzieć, że na określenie tego budynku pojawiała się także nazwa „Bau zwei” (Bau 2). Nazwa ta odnosiła się do adresu i oznaczała piętro drugie.

Oznaczenie pomieszczeń w lagrze numerami jak: Bau 1 lub Bau 2 - było podobne jak na statku „Bremerhaven”, gdzie piętro pomieszczeń mieszkalnych oznaczano Raum 1, Raum 2, itd.

Na parterze Bau 1 administracyjnego, zamienionego na lager, nadal mieściły się pomieszczenia związane z administracją obozu: jak biuro komendanta, urzędników, stołówki, kantyny, czy punktów wydawania posiłków i deputatów żywnościowych. Może dlatego nazwa budynku pozostała po niemieckim „Hydro Bau I Verwaltungsgebäude” czyli budynek administracyjny.

Uwaga redakcji: Z informacji wynika, że istniały dwa, podobne i dlatego mylące określenia. Pierwsze to nazwa „Hydro Bau 1 Verwaltungsgebäude” czyli budynek administracyjny. Ten budynek (jako całość) określano Bau 1 lub Bau Eins. Natomiast z chwilą przekształcenia go w obóz (administracja została na parterze) pojawiły się nazwy: Bau ein (Bau 1) i Bau zwei (Bau 2), co określało I i II piętro.



BUNKRY I SCHRONY

Redakcja: - *Charakterystycznym elementem pejzażu wojennych Pölitz były bunkry i schrony. W centrum miasta wybudowano schron podziemny na rynku i kilka naziemnych, wieloosobowych, bardzo blisko miejsca, w którym Pan pracował. Czy pamięta Pan moment wznoszenia tych obiektów?*

Jan Benedykt Koziński: - Budowanie w Policach wieloosobowych schronów i szczelin przeciwlotniczych rozpoczęło się dopiero po pierwszych nalotach w końcu 1940 roku. Nasilenie ich nastąpiło w 1943 i trwało jeszcze w 1944 roku. Gdy rozpocząłem pracę w ogrodzie od września 1941 roku schron na rynku, na placu pokościelnym już istniał. Nic więcej na ten temat nie jestem w stanie powiedzieć. Proszę pamiętać, że ponad rok (do września 1941) pracowałem w fabryce, mieszkając w Pommernlager, daleko od centrum ówczesnych Polic. Dlatego nie mam wiedzy na temat przemian miasta w pierwszym okresie wojny.

Jeśli chodzi o schrony, potocznie nazywane przez nas bunkrami, więcej wiem o dużym obiekcie usytuowanym za torami, między boiskiem sportowym i terenem cmentarza [**uwaga redakcji:** chodzi o rumowisko, które w dzisiejszych Policach często określa się słowem „skałki”]. Wokół jego dziejów nagromadziło się sporo fantazji, tymczasem prawdziwa historia wygląda następująco.

Betonowy dwupiętrowy bunkier został wybudowany po pierwszych nalotach i służył jako schron przeciwlotniczy ludności niemieckiej. W pobliżu tego bunkra znajdowało się stanowisko artylerii przeciwlotniczej. Podczas jednego z ostatnich nalotów w 1944 r. przed wejściem do tego bunkra wybuchła mina lotnicza ścinając



las i wrywając drzwi. Zginęli ludzie znajdujący się w dolnych pomieszczeniach schronu. Po tym zdarzeniu schron został wyłączony z użytkowania ludności i przekazany wojsku na skład amunicji.

Dowodem tego jest opisany w zasadniczej części moich wspomnień fakt, że po tym nalocie oglądałem schron w środku, wchodząc przez otwór drzwiowy, zabity na krzyż deskami, gdzie wpadłem do piwnicy.

Bunkier nie mógł wcześniej wylecieć w powietrze, bo przecież jeszcze 24 marca 1945 roku podczas ewakuacji z miasta schron ten stał w całości. Dopiero po powrocie do Polic stwierdziliśmy, co potwierdzili żołnierze radzieccy, że bunkier jest zawalony, gdyż został wysadzony w powietrze wraz z amunicją, przez wycofujące się wojsko niemieckie. Na fotografii wyżej - stan obecny.

OGRÓD I OKOLICE

Redakcja: - Obok Pana zakładu pracy, czyli ogrodu ograniczonego od północy i wschodu Feld- i Hagenerstraße (dziś ul. Polna i Starzyńskiego), przy Seminarstraße (dziś ul. Sienkiewicza) funkcjonowała sławna „Bugenhagenschule” - szkoła im. Jana Bugenhagena. Dawniej (w czasach cesarstwa) Królewskie Ewangelickie Seminarium Nauczycielskie. Naprzeciw był internat i niewielki szpital. Obok - kryta sala gimnastyczna, czyli Turnhalle.

Z kolei od strony zachodniej, wzdłuż poczty, biegła niewielka uliczka, właściwie droga gruntowa, zwana Rosenweg. Od południa ogród ograniczały tyły budynków przy ul. Grunwaldzkiej. Co z topografii i wymienionych miejsc szczególnie zapadło Panu w pamięć? [usytuowanie ogrodu na planie miasta - str. 32].

Jan Benedykt Koziński: - Przede wszystkim bliskość ważnych instytucji. Wtedy, podczas wojny, nad tym się nie zastanawiałem, refleksja przyszła po latach: ten ogród był bardzo blisko najważniejszych urzędów. Tuż przy poczcie, obok komendy policji, blisko reprezentacyjnego ratusza, usytuowanego vis à vis komendy, po drugiej stronie dzisiejszej ul. Grunwaldzkiej.

Niemal dokładnie naprzeciw niewielkiego sklepu, w którym sprzedawaliśmy płody rolne, nieco cofniętego od linii zwartej zabudowy ul. Grunwaldzkiej (od poczty do placu Hitlera przy ulicy stały budynki) - była restauracja, a nad nią kino. W sumie (w kategoriach Pölitz) była to dość reprezentacyjna dzielnica, stąd położenie ogrodu może nieco dziwić. Kiedyś się nad tym nie zastanawiałem, potem doszedłem do wniosku, że gospodarstwo miało pewnie dłuższą historię niż otaczająca je zabudowa, pochodząca z drugiej połowy XIX i pierwszych lat XX wieku. Prawdopodobnie ogród kiedyś znajdował się na uboczu, a potem „dogoniło” go rozbudowujące się miasto.

Od strony południowo-wschodniej gospodarstwo graniczyło z siedzibą policji. Ale policję mieliśmy i po drugiej stronie, czyli od zachodu. W niewielkim przejściu - łączniku między Hindenburgstr. (Grunwaldzka) i Hagenerstr. (Starzyńskiego) stały drewniane, policyjne baraki, przez całą dobę strzeżone przez wartownika, który tym samym miał wgląd w nasze prace w ogrodzie. Do dziś, obok poczty, zachowały się betonowe fundamenty baraków (*foto na stronie obok - autor pokazuje fundamenty baraków podczas wizyty w Policach 13 września 2011 r.*).

Zabudowania mieszkalne, należące do gospodarstwa, przylegały do dzisiejszej ul. Starzyńskiego. Naprzeciw był okazały dom, zburzony podczas jednego z bombardowań (*foto na str. obok*). Ocalała stara pompa, z której czerpałem wodę.

Ulica Polna, zwana tak samo w czasach Pölitz (Feldstraße), podobnie jak Starzyńskiego (Hagenerstraße) wiodła w kierunku torów. Na końcu Polnej znajdo-



Ulica Starzyńskiego (Hagenerstr.), widziana od strony skrzyżowania z ul. Polną w kierunku ul. Grunwaldzkiej. Z prawej strony (za „starą komendą”) i pocztą był ogród oraz jego zabudowania mieszkalne, przylegające do ul. Starzyńskiego. Z lewej strony, przed widocznym budynkiem był jeszcze jeden dom, zburzony podczas nalotu w r. 1944.



wały się baraki, w których zakwaterowano grupę estońskich kobiet z oddziału wojskowego, które obsługiwały aparaturę do wytwarzania mgły. Opisałem te miejsca w zasadniczych wspomnieniach.

Przy Polnej, w pobliżu ogrodu, zachowały się dwa budynki. W pierwszym mieszkał bauer, który źle traktował pracującego u niego Polaka, w drugim bywał kominiarz i pod cylindrem wynosił ze strychu smakowite wędzonki podebrane właścicielom (*foto wyżej: pierwszy z lewej dom bauera; w następnym domu „buszował” kominiarz*).



Ogród

Oдноśnie terenu i szkoły „Bugenhagenschule” to mogę dodać tylko moje przeżycia i spostrzeżenia. Teren szkoły był terenem zamkniętym, niedostępnym dla robotników polskich. W szkole tej uczyła się w przeważającej liczbie dorastająca młodzież niemiecka - chodząca w mundurach „Hitlerjugend”.

Ja, jak i inni Polacy z literą „P” udający się do miasta z obozu „Pommernlager” i statku „Bremerhaven”, a przechodzący ulicą obok szkoły (Bugenhagenweg i Seminarstr., dziś Dubois i Sienkiewicza) - narażeni byliśmy na zaczepki ze strony tej młodzieży, ich kpiny, a nawet próby bicia i żądania, by Polacy im się kłaniali i chodzili nie po chodniku, a jezdnią.

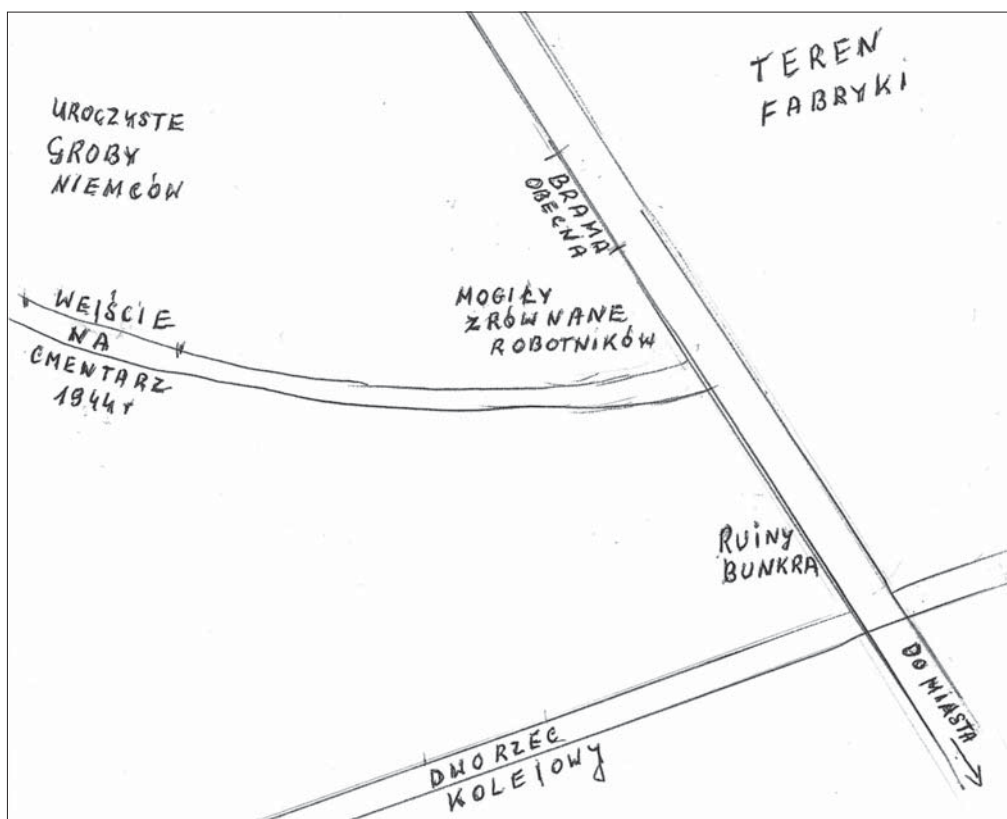
Tak było w latach 1940-1941. Po tym okresie stosunek ten uległ poprawie, spowodowanej głównie zmniejszeniem się liczby uczącej młodzieży, a w końcu opuszczeniem przez młodzież placówki.

Na omawianym terenie istniał niemiecki szpital (lub lazaret), co mogę powiązać z dwoma zdarzeniami:

a) w połowie 1944 r. szefowa moja z ogrodu wysłała mnie, bym zaniósł do kaplicy znajdującej się w okolicy szkoły, wieniec, zamówiony przez rodzinę zmarłego. Zanosząc ten wieniec, wszedłem do środka kaplicy, w której stała trumna, a pastor odprawiał nad nią modlitwy. Z kaplicy tej zostałem szybko wyprowadzony przez dwie Niemki, którym oddałem wieniec,

b) po nalocie, w którym zginął Alek Sowa, ja z Martą szukając Jego zwłok, znaleźliśmy je leżące wraz z innymi, na podłodze kostnicy w budynku na terenie szkoły.

W mieście istniała druga szkoła, za „Sportplatz” usytuowanym przed torami. Była to szkoła podstawowa. Uczyła się w niej mała córka ogrodnika. Ze szkoły tej zwoziliśmy do ogrodu ciągnionym ręcznie wózkiem, zbierane przez młodzież szkolną gliniane doniczki do sadzenia kwiatów. [Chodzi o szkołę przy Barnim - Allee, dziś jest to SP nr 1 przy ul. Sikorskiego 8 - przyp. redakcji].



WEJŚCIE NA CMENTARZ

Redakcja: - W swoich wspomnieniach kilkakrotnie wspomina Pan o cmentarzu. Chodzi o określoną nekropolię: Waldfriedhof przy ul. Tanowskiej. Z Pana relacji wynika, że była jakoś inaczej, niż dziś zorganizowana. O co tu chodzi?

Jan Benedykt Koziński: - Obecne wejście na cmentarz powstało po wojnie. W czasie wojny wejście na cmentarz znajdowało się na drodze znajdującej się poza dworcem kolejowym i zburzonym betonowym schronie w lewo od ulicy Tanowskiej, w kierunku południowo-zachodnim.

Tam chowano uroczyście Niemców poległych podczas nalotów bombowych.

W prawym rogu cmentarza pod płotem, zazaczyłem miejsce, gdzie chowano we wspólnych mogiłach poległych robotników innych niż Niemcy narodowości. Do nich należał również mój przyjaciel Alek Sowa.

[Wyżej - szkic Jana Kozińskiego. Odpowiada oficjalnemu planowi Polic (Pölitz). Dziś tędy biegnie „ścieżka sportowo-rekreacyjna” zaczynająca się na parkingu za „Eneą”, przy ul. Tanowskiej. W pobliżu „skałek”.

Na następnej stronie - stara droga na cmentarz. Zdjęcie wykonane na początku października 2011 r.]

Cmentarz





LUDZIE, KTÓRYCH ZAPAMIĘTAŁEM

Redakcja: - *Spędził Pan w Policach długie, wojenne 5 lat, żyjąc pośród Polaków i Niemców oraz przedstawiciele innych narodowości. Jak Pan wspomina ówczesne relacje społeczne? Kto, poza postaciami opisanymi w książce, zapadł Panu w pamięć?*

Jan Benedykt Koziński: - Społeczność niemiecka w Policach była typowa dla małego miasta i składała się z:

- robotników stanowiących największą grupę społeczną utrzymującą się z pracy w fabryce,
- drobnych rzemieślników,
- kupców oraz właścicieli zakładów usługowych, jak transport samochodowy lub konny, a także właścicieli warsztatów ślusarskich, piekarni, masarni, aptekarzy, kominiarzy itp., utrzymujących się z własnej pracy, przy wykorzystaniu robotników najemnych,
- właścicieli gospodarstw rolnych i zakładów ogrodniczych, pracujących samodzielnie i zatrudniających robotników (najczęściej cudzoziemców),
- z inteligencji, składającej się z urzędników, wojskowych, policji i pracowników urzędów państwowych,
- z sytuacyjnej „arystokracji”, chodzi o funkcjonariuszy aparatu partii hitlerowskiej, organizacji SS i gestapo, składających się z ludzi wszystkich warstw społecznych popierających władzę Hitlera.

Ludzie, których zapamiętałem

Między tymi grupami społecznymi zauważyłem poprawne stosunki międzyludzkie - jednak bez bliższego obcowania.

Podstawową porą wypoczynku było niedzielne popołudnie. Spędzano je w gronie rodzinnym, idąc do kina, względnie na kufel piwa w restauracji.

W okresie początkowym w Pommernlager i na statku „Bremerhaven” w większości mieszkali Polacy, w tym Łodzianie. Później do obozu przybyli jeńcy wojenni, przekwalifikowani na robotników przymusowych. Robotnicy polscy pochodzili z różnych stron kraju i posiadali różny status społeczny.

Najwięcej było robotników fizycznych, ślusarzy, tokarzy, murarzy itp. Zdarzali się i starsi wiekiem robotnicy, którzy nie umieli pisać. Sztubowym w naszej izbie był Polak mówiący dobrze po niemiecku, który w czasie II wojny światowej przebywał na robotach u Niemców.

Było trochę młodzieży w moim wieku. Między dorosłymi był fachowiec od robienia szalunków drewnianych w głębokich wykopach ziemnych. Innym był narkoman zażywający masę różnych leków. Jego podstawową troską było zdobywanie, różnymi sposobami, różnorodnych proszków. Od ich nadmiernego zażywania dostawał lekkiego obłądu. Jedni zajmowali się kolekcjonowaniem znaczków pocztowych, inni grali na gitarze. Ludzie, którzy nie mieli określonych zawodów zatrudniali byli przy pracach budowlanych, obsłudze betoniarek, jako pomocnicy murarza, przy wykopach ziemnych, transporcie i rozładunku. Fachowcy: ślusarze, tokarze, czy malarze pracowali w swoich zawodach.

Z grona osób, z którymi zamieszkiwałem i znajdujących się na wspólnych fotografiach, zapamiętałem tylko takie nazwiska: Smulik, Niewadził, Balcerzak oraz Cholewa. Dwóch ostatnich nie jestem jednak w stanie przypisać do konkretnych osób.

Żyjąc w takiej różnorodnej gromadzie występowały różne zdarzenia i sposoby zachowania. Wadą Polaków było powszechne używanie wyrazów obraźliwych. Do nich należało słowo zaczynające się na k.... Te słowa były mocno krytykowane przez robotników czeskich.

W Pommernlager chodziły wiarygodne wieści, że po jednym z nalotów, robotnik włoski został kanibalem. Wyciął on z pośladka zabitego kawał mięsa, który spożył. Włoch ten został przez Niemców natychmiast zabrany.

W ogrodzie, w którym pracowałem, w budynku mieszkali: na parterze połowy budynku szef z rodziną. W drugiej połowie małżeństwo niemieckie, które miało poza ogrodem stajnię z końmi i wozami (prowadzili zakład usług transportowych). Zatrudniali jednego robotnika polskiego „Stanisława”, który mieszkał w pomieszczeniu obok stajni. Stanisław w kraju pracował w folwarku na stanowisku „rataja”. Miał charakterystyczny chód. Chodził jak na szczydlach, bo po od-

mrożeniu amputowano mu w Polsce palce u nóg. Lubiliśmy w jego towarzystwie przebywać wieczorami, gdyż bardzo ciekawie opowiadał o wiejskich duchach. Nie miał łatwego życia u swego niemieckiego pracodawcy, który zapewniał mu skromne oraz bardzo elementarne warunki wyżywienia i mieszkania. Np. na łóżku nie miał zmienianej pościeli, a brudną poduszkę pod głowę przykrywał czystym papierem lub gazetą. Szef Stanisława zginął w czasie nalotu i był pochowany w tym samym dniu co mój przyjaciel Alek Sowa. Po jego śmierci konie i stajnie przejęło wojsko dla transportu wewnętrznego.

Mimo, że mój szef z rodziną mieszkał z ww. obok siebie i w jednym domu, nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów osobistych.

Nie było kontaktów towarzyskich mojego szefa i jego rodziny z wdową po Żydzie, byłej właścicielce ogrodu. Stosunki były wręcz wrogie. Wdowa ta mieszkała sama z papugą na pierwszym piętrze budynku. Była bardzo przyjazna w stosunkach z Polakami.

Przed moim przybyciem do ogrodu, zatrudniony był Polak, który tam mieszkał. Był na własnym utrzymaniu. Dostawał kartki żywnościowe dla robotników długo pracujących (Langarbeiter). Były też kartki dla ciężko pracujących (Schwerarbeiter) i podróżnych (Reisekarte).

Polak ten utrzymywał przyjacielskie stosunki z wdową - pomagając jej w życiu. Rąbał jej drewno na opał i ogrzewanie, a ona odwodziła się mu gotowaniem i częstowała obiadem.

Nie podobało się to mojemu szefowi. Zwolnił Polaka z pracy i przekazał do obozu karnego. Wyszedł z niego dopiero po kilku miesiącach. Do ogrodu nie powrócił. Na jego miejsce zostałem zatrudniony ja. Także nawiązałem z wdową znajomość, którą mile i życzliwie wspominam. Wdowa niejednokrotnie częstowała mnie miską zupy do czasu przyścia do ogrodu Tadeusza. Robiła to w taki sposób, by szef i nikt z jego rodziny tego nie zauważył.

Między niemieckimi gospodarzami dochodziło do współpracy i pomocy w potrzebie. Np. jesienią 1944 roku jeden z bauerów, mający piętrowy budynek i dużą stodołę, w okolicy dzisiejszych ulic Sienkiewicza i Dubois, zwrócił się do naszego pryncypała z prośbą o pomoc przy młóceniu zboża.

W młócce, obok gospodarza, zatrudnionych u niego Jugosłowian, Polaka łodzianina Józka (od którego dostawałem mleko), brali ze mną udział Tadeusz, nasza szefowa i jej siostra.

Do maszyny parowej (młócejcej zboże) ustawionej na placu obok stodoły, snopy pobierane ze stodoły podawane były przez wszystkie osoby. Tylko ja jeden odbierałem je po wymłóceniu i odkładałem na bok. Podaję to dlatego, że po zakończeniu całodziennej młócki, byłem cały czarny od powstającego kurzu. Dobrze, że w ogrodzie była wanna z wodą, w której porządnie się umyłem.

Ludzie, których zapamiętałem

W zamian gospodarz odwdzieczył się nam transportem konnym (powoził Józek), za pomocą którego dostarczył do ogrodu ścinane nad Odrą gałęzie potrzebne do podtrzymywania grochu oraz przywiezieniem z lasu gałęzi świerkowych potrzebnych do robienia wieńców i wiązanek.

Wśród Niemców stało się modne dawanie podarunków (łapówek) za pozytywne załatwianie spraw.

Szefowa moja robiła paczki z owocami i warzywami objętymi reglamentacją (jabłka, pomarańcze, cebula, pomidory oraz szparagi), które wręczałem okresowo takim osobom jak: komendantowi policji komisariatu sąsiadującego z ogrodem, czy leśniczemu za dostawę gałązek świerku. Za te uprzejmości komendant policji patrzył łaskawym okiem na nasze poczynania, udzielając np. przepustek na wyjazd do Szczecina.

Niemcy bywali różni. Jednym z funkcjonariuszy w komisariacie był policjant, zwany kogucikiem. Był to kawał łotra, nienawidzący Polaków. Za najmniejsze popełnione przewinienie nakazywał winnemu kilkugodzinne rąbanie drewna na ogrzewanie baraku.

Innym sposobem wykazania wyższości rasy germańskiej nad Słowianami był często stosowany, przez niektórych Niemców, zwyczaj zapalania przed Polakiem papierosa i rzucanie niedopalonego peta pod jego nogi, czekając na jego podniesienie. Polak nigdy tego nie uczynił w jego obecności.

Podobnie postępował Lagerführer obozu - cegielni w Ueckermünde.

Przeciwieństwem tego było zachowanie innych Niemców.

Był Niemiec, starszy emeryt, który raz w tygodniu stał na drodze prowadzącej przez łąki na statek „Bremerhaven”. Miał on ukryty pod płaszczem bochenek chleba. Sprzedawał go Polakom po wyższej cenie.

Ja sam, mieszkający wtedy na statku z tej oferty korzystałem.

Innym razem, siostra szefowej prowadząca sklep ogrodowy otrzymała od klientki paczkę przeznaczoną dla mnie. W paczce zapakowany był chleb. Zaintrygowana tym, zapytała, czy jestem głodny będąc na wyżywieniu szefowej? Odpowiedziałem, że ja nie, ale mam głodnych przyjaciół mieszkających w lagrach. Bez żadnego słowa paczkę mi oddała.

Głód powodował wśród niektórych Polaków niespotykane wręcz działania. Pewnego razu, późnym popołudniem, zgłosiło się do nas trzech Polaków (mieszkających w ogrodzie) z prośbą o pożyczenie im noża. Na nasze pytanie do czego i na co potrzebny jest im ten nóż wyjaśnili, że złapali i zabili kamieniami dużego i tłustego psa, którego chcą oprawić lecz nie mają czym. Pożyczony im nóż zwrócili po upływie dłuższego czasu, z pretensją, że daliśmy im tępy nóż, którym z trudem psa oprawili.

Oprócz własnych produktów pochodzących z ogrodu, do sklepu dostarczane były warzywa i owoce przez hurtowników ze Szczecina. To oni własnym transportem samochodowym dostarczali m.in. ziemniaki, pomarańcze, pomidory i winogrona pochodzące z Włoch, Hiszpanii lub Francji. Ten sposób dostaw urwał się w 1944 roku.

To spowodowało, że po towary z hurtowni szczecińskich szef wysyłał wynajmowany prywatny samochód ciężarowy. Samochód ten napędzany był gazem drzewnym (Holzgas). Na skrzyni samochodu, tuż za kabiną szoferki, zamontowany był piec spalający drewno wytwarzające paliwo. Zapas drewna leżał w worku obok pieca.

W tych dostawach brałem udział jako pomocnik kierowcy. On załatwiał sprawy, a ja zajmowałem się załadunkiem i rozładunkiem nabytych towarów.

Głównymi artykułami były brukiew, buraki i marchew. Miały one powodzenie gdyż sprzedawane były bez kartek.

Jesienią 1944 roku i zimą w pierwszym kwartale 1945 roku do sprzedaży tych artykułów w sklepie wyznaczono mnie. Polacy z łagrów jak i inni cudzoziemcy szybko dowiedzieli się, że u mnie mogą kupić bez kartki te warzywa, a zwłaszcza brukiew. Brukiew można jeść na surowo lub ugotować z niej gęstą zupę.

Doszło do tego, że Niemki przyszły do szefowej ze skargą na mnie, że Johann sprzedaje cudzoziemskim robotnikom brukiew, której dla Niemców brakuje.

Innym razem, a było to we wrześniu 1944 roku, sprzedaż Niemcom kartofli na kartkowe przydziały odbywała się w następujący sposób.

Urzędująca w sklepie siostra szefowej odcinała kupony z kartek i pobierała zapłatę. Ja ważyłem kartofle na wadze ustawionej w ogrodzie pod oknami sklepu. Siostra podawała mi ilość, a ja ją wydawałem. Wśród kupujących kartofle był jeden Niemiec, który swoim wyglądem i zachowaniem zwrócił moją uwagę. Kupił na przydział 5 funtów kartofli, które wsypałem mu do torby. Wtedy zwrócił się do mnie z prośbą, bym mu dołożył poza przydziałem trochę więcej kartofli. Ma ich za mało na potrzeby swojej rodziny. Patrząc w jego szczerze oczy, bez słowa i ukradkiem, wsypałem mu do torby dodatkowo trzy szufelki ziemniaków. W jaki sposób szefowa rozliczała się z ilości sprzedanych ziemniaków w zgodzie z ilością otrzymanych kartek, nigdy się nie dowiedziałem.

W zachowaniu Niemców i ich stosunku do Polaków, wraz z upływem czasu, następowały pozytywne zjawiska.

Zdarzało się, że w czasie spotkań w baraku męskich uciech, występowały małe sprzeczki Polaków z Francuzami. Kończyły się nieraz z użyciem wylamanych kołków z ogrodzenia i nieładem w pomieszczeniu. Szefowa tego przybytku wezwanej policji wyjaśniła, że winni całemu zamieszaniu byli wyłącznie Francuzi.

Od tego czasu, gdy Francuzi usłyszeli od Polaków „o żeś ty k.... twoja mać”, wołali „o La Polako, o La Polako” i schodzili im z drogi.

O charakterach osób, których przedstawiłem w książce i na fotografiach mogę powiedzieć tylko tyle, co o nich wiem. Nie będzie tego dużo.

Rodzinę właściciela „Zakładu Ogrodniczego Carl Bootz” w Policach częściowo opisałem w treści książki. Sytuacja w tej rodzinie była następująca.

Głowa rodziny, wyższy oficer Wehrmachtu, pełnił służbę w Szczecinie i często wyjeżdżał w delegację. Były więc przerwy w jego pobycie w domu. Żona jego, lat około 36-40, zajmowała się głównie domem i dziećmi przy pomocy niemieckiej dochodzącej służącej.

Siostra żony, kierowała sprzedażą w sklepie mając do pomocy w początkowym okresie sprzedawczynię, która potem wyszła za mąż. Dość często wyjeżdżała do rodziny i na wczasy w Kołobrzegu.

Syn szefa, młodzieniec przed wcieleniem do wojska w 1944 roku, uczył się w szkole ogrodniczej w Dąbiu koło Szczecina. Mieszkał tam w bursie szkolnej. Rzadko bywał w domu. Córka szefa, w wieku szkolnym 7-8 lat uczęszczała do szkoły. By uniknąć nalotów wyjechała na wieś do rodziny. Były dość długie okresy, że w domu przebywały tylko żona szefa i jej siostra.

Rosjanin Iwan pracował z nami w ogrodzie. Nie trwało to długo. W 1944 roku został zabrany z ogrodu i skierowany do budowy okopów Wału Pomorskiego. Właściwie był Białorusinem zamieszkałym we wsi na Błotach Poleskich w rejonie miasta Pińsk. U ruskich pracował przy produkcji drewnianych podkładów kolejowych. Niemcy jego wieś spalili, rodzice zginęli, a jego wywieźli na roboty przymusowe. Nosił na prawej piersi oznakę „OST”. Był pracowity i dość sprytny. Stosował zasadę, przełożonego słuchać, swoje myśleć i kuferka pilnować. Nabierał przy nas pewnej ogłady i zachowania. Pewna cecha jego charakteru ujawniała się w tym, że wyrażał swoje niezadowolenie z otrzymywania mniejszej porcji obiadu, tj. czwartą część zamiast trzeciej. Było to w czasie, gdy częstowaliśmy obiadem odwiedzającego nas kolegę z lagru.

Estonka Iza służyła w stopniu oficerskim w pomocniczej służbie w wojsku niemieckim. Obsługiwała aparaty wytwarzające mgłę do zasłaniania fabryki. Była w moim wieku. Poznałem ją gdy kupowała warzywa w ogrodowym sklepie. Zakochaliśmy się w sobie. To uczucie przesłaniało inne sprawy. Dziwne, że tak mało o niej wiem, albo nie chciałem wiedzieć. Nie wiem jaki miała status społeczny. Ważne dla nas było być jak najczęściej razem. Była to naprawdę wzajemna miłość wojenna.

Pamiętam dobrze pewne zdarzenie. Koleżanka Izy dostarczyła mi krótki list od Izy. Prosiła mnie o pomoc, bo jest głodna i chora. Nie mogłem jej tej pomocy od-

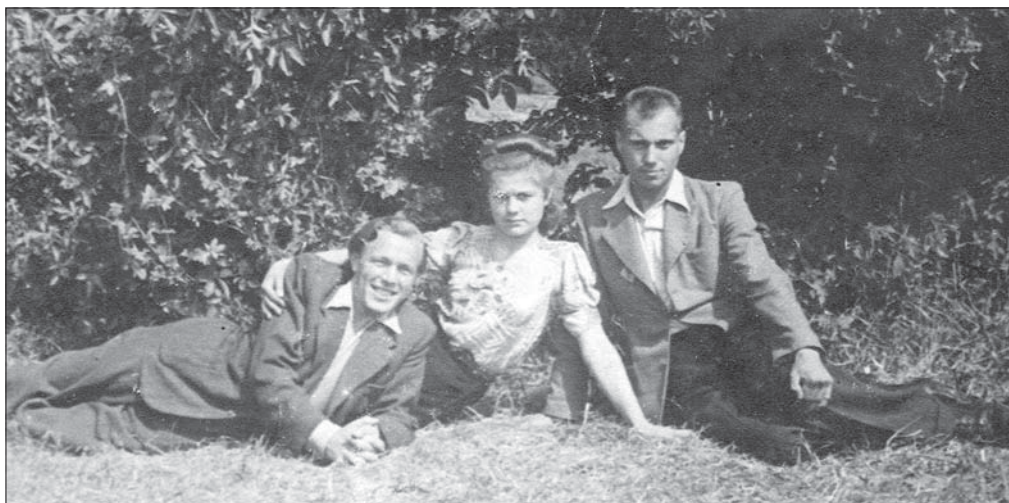
mówić. Zabrałem posiadane zapasy chleba i trochę jabłek, które zaniósłem Izie. Wrażenie zrobiło wewnątrz baraku, jego zapach - izba pełna łóżek i zawieszonych na sznurach mokrej, wypranej bielizny damskiej. Prawa wojny sprawiły, że okres naszej krótkiej znajomości został tak brutalnie zakończony.



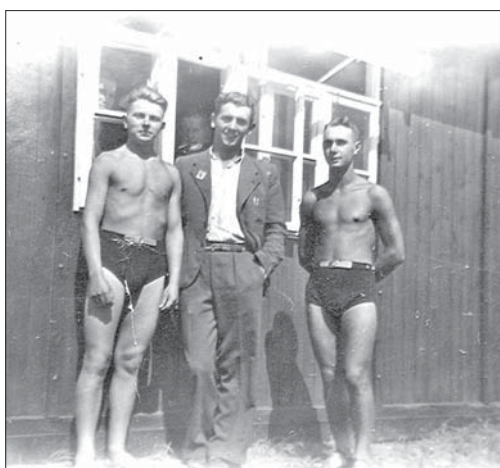
Lola (łodzianka) pochodziła z rodziny urzędników magistrackich. Miała średnie wykształcenie. Pracowała w hotelu mieszczącym się przy rynku w Policach [dzisiejszy urząd pracy, kiedyś hotel „Carmesin” - przyp. redakcji] jako pokojówka. Znajomość naszą, zresztą trwającą krótko, traktowaliśmy jako towarzyskie i przyjacielskie spotkania. Takie umilające czas wolny od pracy. Nie miała szans u Tadeusza, a ja byłem dla niej za młody.

Za naszym pośrednictwem poznała innych kolegów, z którymi się zaprzyjaźniła. Na pamiątkę naszej znajomości otrzymałem od niej dwie fotografie (portretowe i z rowerem) z charakterystyczną dedykacją, że „*lepiej wspomniawszy spojrzeć - jeżeli spojrzawszy przypomnieć*” 14.10.1943 r.

W okresie mej pracy w ogrodzie, utrzymywałem kontakt listowy z innym Polakiem przebywającym również na robotach przymusowych w rejonie Lipska. Był nim **Stasiek Olczak**, kolega z podwórka, razem chodziliśmy do szkoły, byliśmy w jednej klasie, razem pracowaliśmy do wybuchu wojny w zakładzie metalowym w Łodzi. Jego matka pracowała w zakładzie włókienniczym, a ojciec jako woźnica w zakładzie garbarskim. To on przysłał mi w 1944 roku dwie fotografie. Dziewczyna z fotografii została jego żoną.



Po wojnie spotkaliśmy się w Łodzi i utrzymywaliśmy przyjacielskie kontakty. Na zdjęciu - Stasiek (z lewej strony) z przyszłą żoną i znajomym. Na odwrocie dedykacja: *W czasie wspólnego pobytu w Germanii ofiaruję Ci swoją podobiznę w milutkim towarzystwie. Stasiek. Böhlitz 25.07.1944 r.*



Młodość ma swoje zachcianki. Ja chciałem mieć dużo zdjęć z obozu. Jedno takie zdjęcie w spodenkach w towarzystwie Andrzeja Smulika i kolegi ze sztaby o nazwisku Niewadził. Drugie zdjęcie, to ja w mundurze marynarza. Mundur pożyczylem od zwolnionego do cywila jeńca wojennego mieszkającego w lagrach. Chciałem tym zdjęciem pochwalić się przed bratem, który był marynarzem i służył na ORP „GRYF”, był jeńcem wojennym i chodził w podobnym mundurze.

To tylko tyle o sprawach, które mogłem wydobyć z pamięci i przelać na papier. Być może, że pisząc o niektórych szczegółach mogę się powtarzać.



70 LAT PÓŹNIEJ...

W połowie września 2011 roku Jan Benedykt Koziński po raz kolejny przybył na Ziemię Policką. Tym razem z racji przygotowywania edycji niniejszej książki.

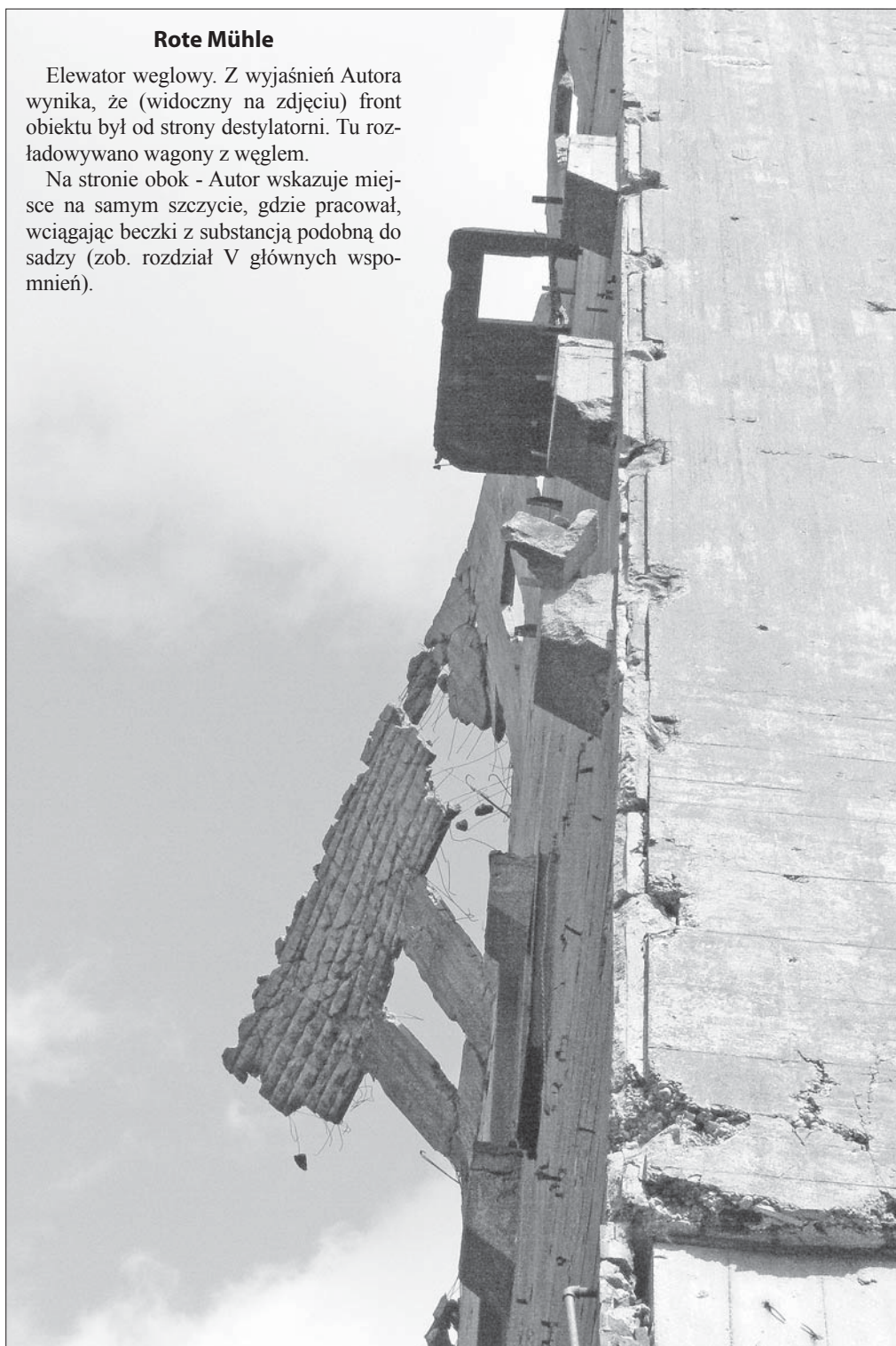
W trakcie kilkudniowego pobytu, z pomocą redakcji odnalazł i odwiedził liczne miejsca opisane we wspomnieniach. Niektóre, jak np. ruiny Rote Mühle, po raz pierwszy po siedemdziesięciu latach. Spotkał się również z burmistrzem Władysławem Diakunem i grupą miłośników przeszłości w siedzibie stowarzyszenia SKARB. Podczas kilkogodzinnej wyprawy i długiego spotkania przekazał wiele szczegółów, które może podać tylko naoczny świadek wydarzeń. Kilka zdjęć przedstawiamy w tym rozdziale. Rozdział zamyka list, przesłany na ręce Dariusza Szalińskiego, prezesa SKARBU, tuż przed powrotem Autora do rodzinnej Łodzi.

70 lat później

Rote Mühle

Elewator węglowy. Z wyjaśnień Autora wynika, że (widoczny na zdjęciu) front obiektu był od strony destylatorni. Tu rozładowywano wagony z węglem.

Na stronie obok - Autor wskazuje miejsce na samym szczycie, gdzie pracował, wciągając beczki z substancją podobną do sadzy (zob. rozdział V głównych wspomnień).



70 lat później



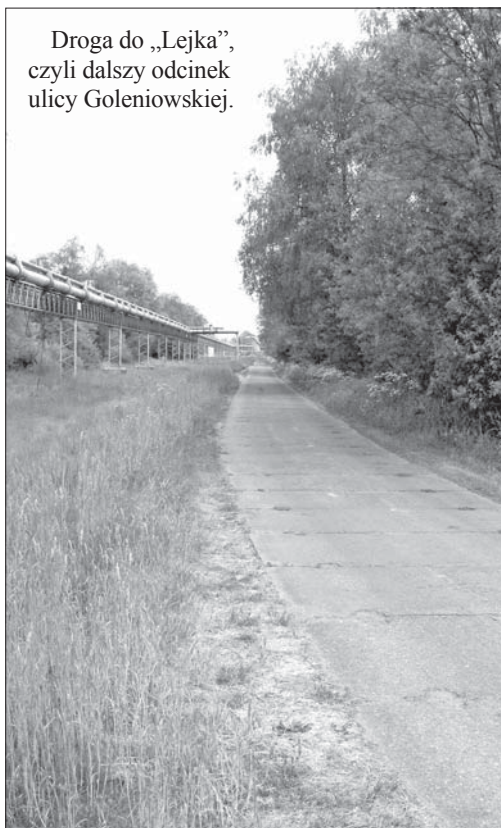
70 lat później

Pommernlager

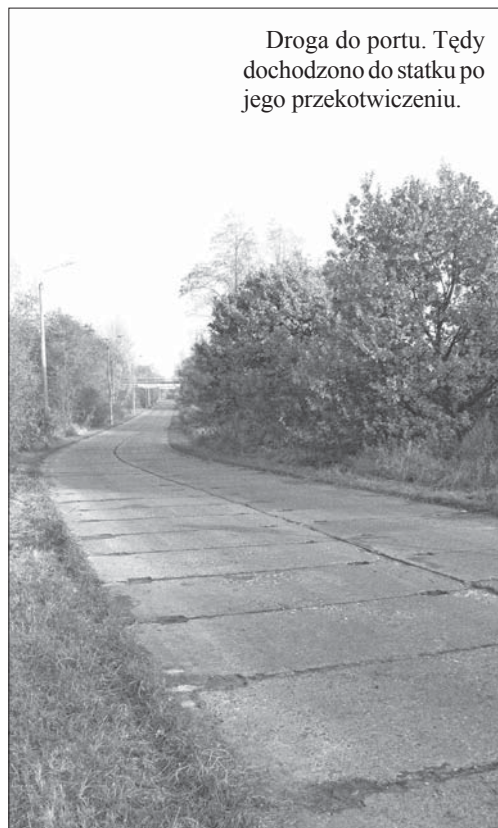
Obóz był kilkaset metrów dalej, na zachód od linii torów. Zdjęcie wykonano 13 września 2011 r. z nasypu kolejowego.



Droga do „Lejka”, czyli dalszy odcinek ulicy Goleniowskiej.

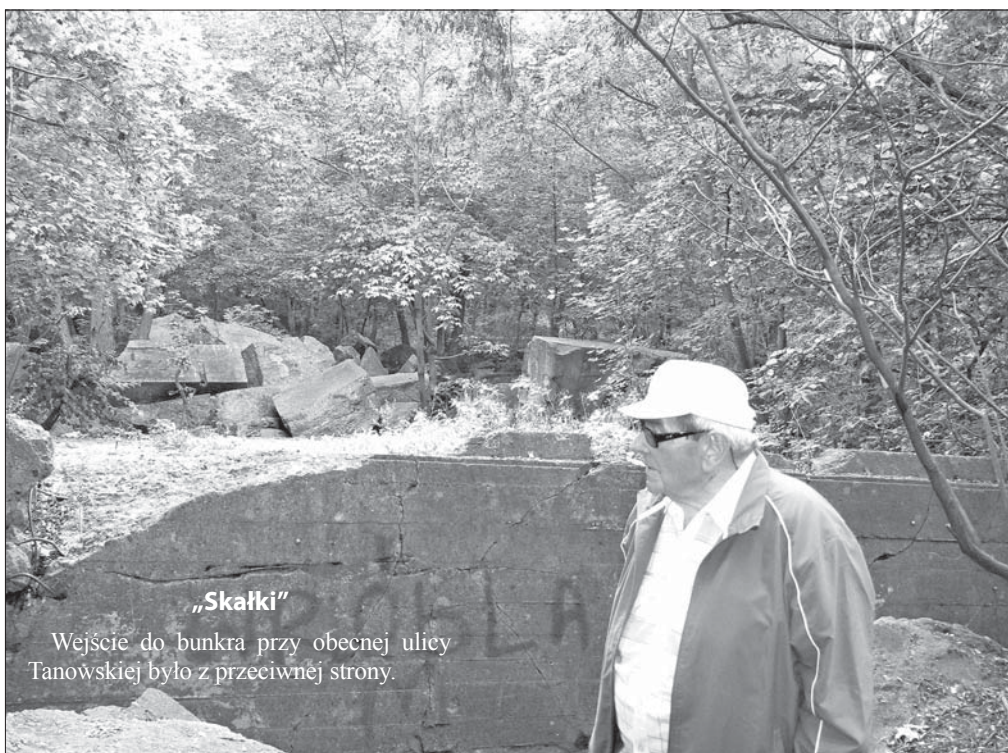


Droga do portu. Tędy dochodzono do statku po jego przekotwiczeniu.



Statek „Bremerhaven”

Pierwotnie statek był zacumowany przy tzw. Lejku. Od rynku prowadziła doń dzisiejsza ul. Goleniowska. W październiku 1942 r. - przekotwiczono go blisko obecnego portu. Do statku szło się obecną drogą do portu, po ok. 2/3 trasy skracając w prawo, na południowy wschód.



„Skałki”

Wejście do bunkra przy obecnej ulicy
Tanowskiej było z przeciwnej strony.



Przy grobie
Marty i Tadeusza Władyków

70 lat później

„Strażnica”

Wieża wartownicza, w północnej części fabryki. Owiana mgłą tajemnicy - powód jej wybudowania do dziś nie jest znany. Otaczający ją teren był wydzielony ogrodzeniem i pasem jednoosobowych bunkrów typu Splitterschutzzelle.

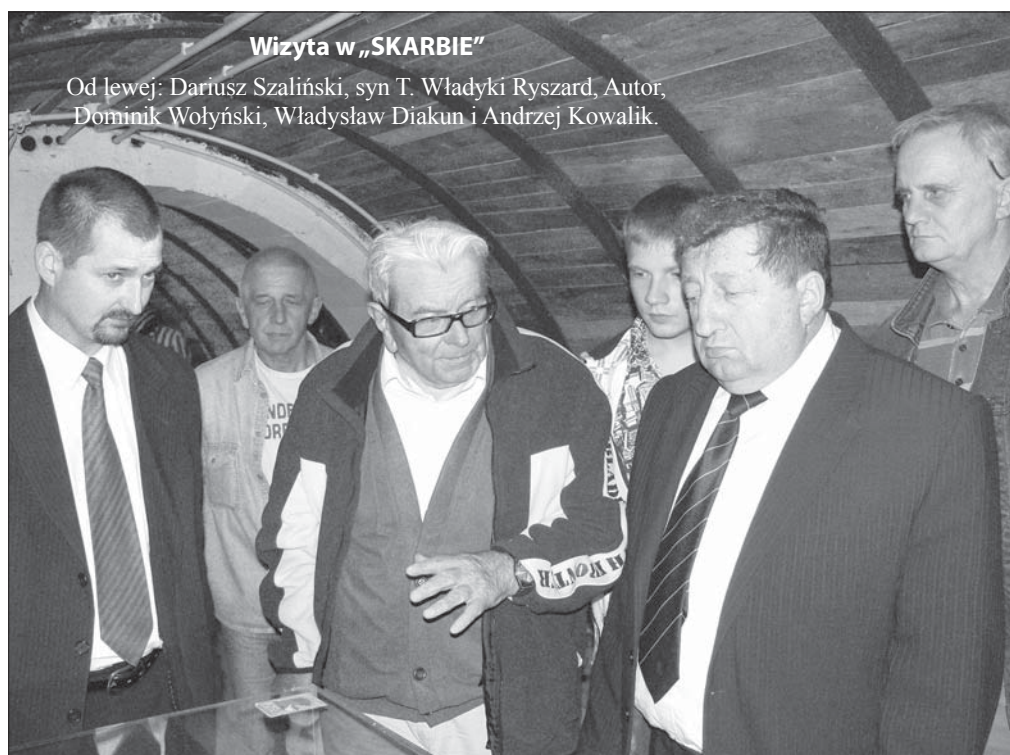


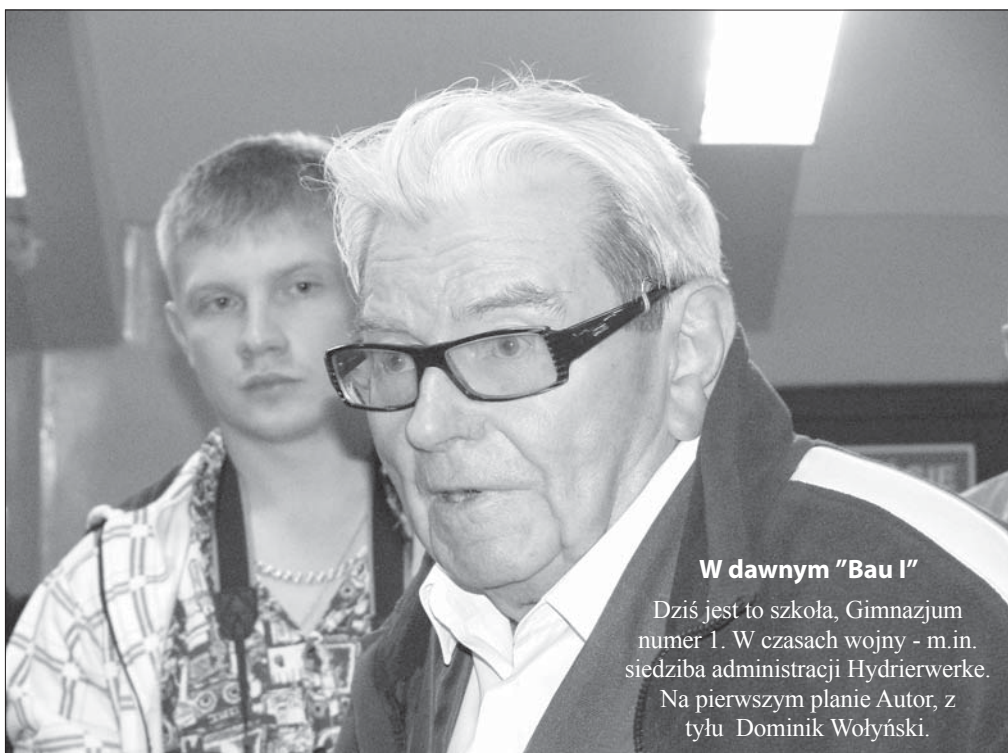


W tej części fabryki Autor (na zdjęciu, 14 IX 2011 r.) nigdy nie był, mimo że pracował przy rozładunku wagonów na bocznicę nieodległego dworca. „Był to teren wydzielony, w ten rejon nie wolno nam było wchodzić” - wspominał podczas spotkania zorganizowanego przez „SKARB”. To samo powiedzieli dawni niemieccy pracownicy fabryki, odwiedzający Police w roku 2006.

W późniejszej korespondencji Jan B. Koziański wysunął hipotezę o możliwym związku intrygującej przestrzeni z produkcją rakiet V1 - V2 lub innej „Wunderwaffe” (cudownej broni) Hitlera. Podobne domniemania przewijają się w niektórych opracowaniach innych autorów, analizujących tajemniczy obiekt.

70 lat później





W dawnym "Bau I"

Dziś jest to szkoła, Gimnazjum numer 1. W czasach wojny - m.in. siedziba administracji Hydrierwerke. Na pierwszym planie Autor, z tyłu Dominik Wołyński.



Przed „SKARBEM”

Panie na zdjęciu - z lewej Danuta, z prawej Katarzyna - to córki Autora

70 lat później



Pożegnanie z burmistrzem W. Diakunem. Niżej - list do D. Szalińskiego, prezesa SPZP „SKARB”.

Miasto Police 17.09.2011 r.

Szanowny Panie Prezesie Stowarzyszenia „Skarb”!

Kończąc swoją wizytę w Policach, mieście pełnych wspomnień, z mieszkańcami uczynnymi i życzliwymi, składam Panu serdeczne podziękowania za zorganizowanie tak ważnego dla mnie spotkania, które wzbudziło szerokie zainteresowanie tak licznie zebranych uczestników.

Czuję pełną satysfakcję, że na spotkaniu tym były obecne i brały czynny udział tak zacne osoby m.in.: pan Burmistrz, inicjator - pan J. A. Kłys, pani Dyrektor szkoły, młodzież i inne osoby zainteresowane.

Za tę obecność i udział w tym spotkaniu, za Pana pośrednictwem, składam Im wszystkim płynące z serca podziękowania i ukłony.

Życzę również dalszej owocnej pracy w tak ważnej działalności: w prowadzeniu Stowarzyszenia „Skarb”.

Pełni wrażeń pozdrawiają
Jan Benedykt Koziński z rodziną

SPIS TREŚCI

I. Prolog	7
II. Podróż pojmanyh	12
III. Obóz pracy Pommernlager	14
IV. SS „Bremerhaven”	22
V. Praca w fabryce	27
VI. Zakład ogrodnicy	32
VII. Zdarzenia w ogrodzie i w mieście	41
VIII. Ueckermünde	55
IX. Szczecin	62
X. Retrospekcja	64
XI. Rozmowy z Panem Janem	71
- <i>Obozy pracy</i>	72
- <i>KZ Außenlager Stutthof</i>	78
- <i>Hydrierwerke</i>	80
- <i>Schrony</i>	84
- <i>Ogród</i>	86
- <i>Cmentarz</i>	91
- <i>Ludzie, których zapamiętałem</i>	93
- <i>70 lat później</i>	101

Jan Benedykt Koziński - urodzony 3 sierpnia 1923 roku w Łodzi. Po ukończeniu szkoły powszechnej kontynuował naukę w Wieczorowej Szkole Zawodowej - ukończył dwie klasy. Pracował równocześnie w zakładzie metalowym. Działalność tę przerwały działania wojenne.

W maju 1940 roku wywieziony został do pracy przymusowej w Niemczech. Został skierowany do pracy w fabryce benzyny syntetycznej w Policach koło Szczecina. W fabryce zatrudniony był m.in. przy „paku”.

Po 18 miesiącach pracy w fabryce, ze względu na zły stan zdrowia, przeniesiony został do pracy w zakładzie ogrodniczym w mieście. Miejscem jego zamieszkania były lagrowe baraki w Pommernlager oraz okręt zakotwiczony na Odrze - „SS. Bremerhaven”, a następnie przybudówka u właściciela ogrodu.

Po upływie 5 lat, w maju 1945 roku wrócił do Łodzi.

Po powrocie do rodzinnego miasta kontynuował wieloletnią naukę w systemie zaocznym, zdobywając wykształcenie ekonomiczne.

W 1945 roku zaczął pracować w zakładzie przemysłu spożywczego, a od czerwca 1950 roku w Najwyższej Izbie Kontroli na stanowisku inspektora.

Po 31-letniej pracy w tej instytucji, (jeździł po całej Polsce) w styczniu 1982 roku przeszedł na emeryturę. W wolnych chwilach działał w harcerstwie, uprawiał żeglarstwo, kolarstwo i rzeźbił w drewnie. Aktualnie uprawia działkę.

Przez 57 lat był żonaty z jedną kobietą. Został wdowcem w 2003 roku. Dochował się dwóch córek, wnuczka, dwóch prawnuków. Został seniorem rodu.

